

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 15 grudnia 1947 r.

Nr 50 (119)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

PRZED NOWYM ETAPEM W POLITYCE KULTURALNEJ

Wrocławskie przemówienie Prezydenta Rzeczypospolitej zostało szeroko spopularyzowane przez prasę codzienną. Nie trzeba przypominać jego treści. Należy jednak ocenić to wydarzenie.

Zagadnienia polityki kulturalnej, jej wytycznych, zasady organizacji konsumpcji kulturalnej i problemy administracji kulturalnej były w ciągu ostatniego roku szeroko dyskutowane w prasie literackiej i na szeregu konferencyj związków artystycznych i organizacji politycznych.

Przemówienie Prezydenta należy ocenić jako wyraz stanowiska Państwa w tej sprawie. Stanowisko to jeszcze raz akcentuje humanistyczne zasady naszej polityki kulturalnej: „...nowe warunki życia Polski Odrodzonej wymagają... usunięcia wszelkich nierówności w rozwoju człowieka”. Aby wyrównać wielką krzywdę społeczną mas ludowych czynimy wysiłki, aby podnieść ich stopę życiową, aby z kraju zafanego gospodarczo uczynić kraj przodujący w dziedzinie przemysłowej i technicznej. Nie można tego osiągnąć bez równomiernego podniesienia poziomu oświaty, nauki i kultury mas ludowych...”

Najistotniejsze wytyczne ogólnopolskiej polityki kulturalnej dadzą się w ostatecznym rachunku sprowadzić do podstawowych: upowszechnienia i uspołecznienia kultury. „Upowszechnienie znaczący ogarnięcie atmosferą i pragnieniem wiedzy, samokształcenia, upodobania kulturalnych i artystycznych milionowych mas...”

„Uspołecznienie twórczości kulturalnej oznacza wyzwolenie jej ze starych przesądów, tzn. tworzenie nowych wartości kulturalnych wyrastających z nowych form społecznych...”

Z długich i dość już szczegółowych dyskusyj wiemy dobrze jak trudnym zadaniem ideowym i organizacyjnym jest unowocześnienie życia kulturalnego mas pod względem treści i formy.

Nie rozwiązaliśmy jeszcze w praktyce zagadnienia stworzenia nowego typu instytucji życia kulturalnego mas, nasza twórczość kulturalna w tej dziedzinie nie odpowiada bynajmniej nowym warunkom społecznym, nowej sytuacji politycznej mas ludowych. Ani zasięg ani treść życia kulturalnego tych instytucji nie odpowiadają postulatowi upowszechnienia i uspołecznienia.

Jesteśmy w tej dziedzinie doprawdy u początku drogi.

Sądzę, iż należy traktować przemówienie wrocławskie Prezydenta jako rozpoczęcie nowego etapu w naszej polityce kulturalnej. Dotąd tymi sprawami interesowała się raczej opinia publiczna. Cytowane przemówienie świadczy, iż reforma naszej polityki kulturalnej stanie się bezpośrednim przedmiotem zainteresowania państwa. W przemówieniu Prezydenta znalazło potwierdzenie przekonanie wielu działaczy kulturalnych, iż rozwiązanie wyżej omówionych kapitalnych trudności, organizacyjnie dokona się poprzez ogólnokrajowe planowanie kulturalne. „Musimy tak jak we wszystkich innych dziedzinach naszego życia przejść do planowania także w dziedzinie kultury i sztuki”.

Oznacza to plan pracy — odpowiadający na pytanie co upowszechniać. Technicznie wyrazi się to np. w planie wydawniczym, re-

peraturowym. Pozwoli zatem wprowadzić społeczne zasady selekcji na miejsce komercyjnych.

Oznacza to plan techniczny, ustalający etapy radiofonizacji, rozbudowy sieci kin itp. w kraju.

Oznacza to plan finansowy — pozwalający nasze szczupłe zasoby wydawać celowo i według właściwej hierarchii potrzeb, która wobec braku planu, nie jest zupełnie ustalona.

W naszych warunkach planowanie kulturalne wymaga jeszcze jednego kapitalnego posunięcia organizacyjnego: „...scalenia i usprawnienia pracy na odcinku kulturalnym. Scalenie — to właściwy termin. Rozproszkowanie ośrodków niby centralnej dyspozycji w polityce kulturalnej jest zasadniczą wadą naszej administracji w tej dziedzinie.

Myszę, iż wszyscy pracownicy kulturalni

ANDRZEJ STAWAR

Z ZAGADNIEN PROZY^{*)}

DYSKUSJA o prozie współczesnej, o jej osiągnięciach, tendencjach i perspektywach rozwojowych niezawodnie pożyteczna, w naszych warunkach, jak większość sporów literackich — okazać się może zawieszona w powietrzu. Widzimy to na przykładzie ankiety „Twórczość” o literaturze dwudziestolecia. Wykazuje ona dziwne rozbieżności i sprzeczności sądów, zwłaszcza gdy zważyć, iż chodzi tu przecież o epokę historycznie zamkniętą, co do której pewne minimum wspólnych poglądów powinno już obowiązywać. Że tego nie ma, przyczynę trudno widzieć w rozbieżnościach czysto literackich. Literatura dwudziestolecia była atakowana z nierzadziej punktów widzenia już w toku swego powstawania. Wiele było sądów ujemnych, wygłaszanych z dużym temperamentem.

Z punktu widzenia ruchu literackiego, stopnia ożywienia, obfitości przejawów nie był to przecież okres ubogi. Tendencje pewnego regresu kulturalnego nie zupełnie się ujawniają, gdy weźmiemy zjawiska ilościowo — a nawet jakościowo. A jednak na literaturze odbijało się zmniejszenie rozpędu, rozmachu działalności kulturalnej, upadek wiary w jej skuteczność. To wynikało z kierunków politycznych, społecznych, filozoficznych, naberających mocniejszych wpływów na inteligencję mieszczańską. Zbrakło po prostu ufności w potęgę wiedzy, oświaty, kultury, która cechowała w tym stopniu okres pozytywizmu i mimo wszystko jeszcze czasy „Młodej Polski”. Z tym spadkiem dwudziestolecia i dziś mamy jeszcze do czynienia.

Podkreśla się teraz zjawisko pewnego rodzaju nożyc między świadomością społeczną a literaturą piękną. Głosy, iż literatura w stopniu niedostatecznym spełnia swoje obowiązki społeczne są dość liczne i autorytatywne. Zwłaszcza odnosi się to do beletrystyki naszego dwulecia.

Nawiasem mówiąc krótki okres czasu

winni życzyć sobie, aby te postulaty stały się jak najrychlej faktami.

Do tak wytkniętych w mowie wrocławskiej podstawowych wskazań trzeba będzie wielokrotnie wracać. I w praktyce organizacyjnej i wcześniej w teoretycznych szczegółowych rozważaniach. Etap ogólnych dyskusji należy uważać za skończony. Teraz każdy wymieniony plan, każde organizacyjne posunięcie wymaga szczegółowego konkretnego opracowania. Na przykład zamiaś dyskusji o potrzebie planu wydawniczego — możemy oczekiwać i powinniśmy w ciągu najbliższych miesięcy otrzymać do rozważenia konkretną propozycję co należy wydać w bieżącym roku. Co więcej plan taki winien być w 1948 roku zrealizowany.

Nowy etap polityki kulturalnej — to etap nie dyskusji a pracy, pracy planowej i planowanej.

Stefan Żółkiewski

wchodzący w grę nakazywałyby pewną ostrożność sądów, jeśli chodzi o istniejący stan rzeczy. Niezaprzeczoną plusem jest znaczne ożywienie, znaczna intensywność naszego życia literackiego. Tego się często niedocenia. Pod tym względem artykuł Żółkiewskiego uwydatnia tę sprawę w sposób dość oczywisty.

Pamiętać trzeba, iż literatura współczesności zawsze cierpi od porównań z przeszłością, zwłaszcza gdy chodzi o narzekania na brak arcydzieł. Literaturę przeszłości ocenia się w pewnym zagęszczeniu wskutek zbliżenia dzieł wybitnych do siebie — przez co oczywiście epoka współczesna traci na intensywności, wydaje się względnie jałowa. Pod tym względem pomylki popełniano zawsze. Wystarczy przypomnieć artykuł młodego Sienkiewicza o współczesnej mu powieści, w którym ocenia jej perspektywy jako mizerne, niewiele zapowiadające. A pisał to Sienkiewicz w przededniu rozkwitu twórczości powieściowej — do czego sam miał się wydatnie przyczynić. Ta pewna nieufność do rzeczy dziejących się współcześnie właściwa jest nie tylko konserwatystom.

Oceny literatury współczesnej z tego punktu widzenia czy wydaje ona arcydzieła i jakie, należy uznać za przedwczesne. Zresztą historia nam wskazuje, iż arcydzieła nie przychodzą stąd, gdzie się ich oczekuje. Dlatego tak zawodne są próby kreślenia perspektyw rozwojowych, przewidywanych procesów w literaturze i sztuce.

Bardziej konkretne zagadnienia nasuwają głosy stwierdzające słabość czy nawet brak poczytnej beletrystyki masowej. Tutaj stoimy przecież na gruncie faktów jak się to mówi. Niezawsze mamy tu do czynienia ze zjawiskami łatwo uchwytymi. W każdym razie kwestie takie jak masowość rozpowszechnienia i oddziaływanie literatury pięknej, sprawy zawodowości w literaturze dadzą się ująć łatwiej i co ważniejsza nastrożają większe pole do wniosków praktycznych.

II

W opiniach naszych przyjaciół za granicą — ostatnio dał temu wyraz Ilia Erenburg — Polska uchodzi za kraj szczególnie poetyczny, przesycony niejako żywiołem

„Musimy, tak jak we wszystkich innych dziedzinach naszego życia, przejść do planowania także w dziedzinie kultury i sztuki”.

Bolesław Bierut

TREŚĆ NUMERU:

- STEFAN ŻÓŁKIEWSKI — PRZED NOWYM ETAPEM W POLITYCE KULTURALNEJ
- ANDRZEJ STAWAR — Z ZAGADNIEN PROZY
- ZYGMUNT RADEK — WIERSZE
- WACŁAW KUBACKI — ANDRZEJ STRUG PO LATACH
- KAZIMIERZ BUDZYK — JESZCZE DYSKUSJA NAD PRZEDMOWĄ DO „LALKI”
- PAWEŁ HERTZ — NAGRODA NOBLA 1947
- WIERSZE: ANDRZEJ BRAUN, KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI, ANNA KAMIENSKA, EWA PISZER, MICZYSLAWA BUCZKOWNA, JERZY MILLER, ANNA POGONOWSKA
- STANISŁAW PIĘTAK — WŁADZA
- JANUSZ BOGUCKI — W PERSPEKTYWIE PEWNEGO DOŚWIADCZENIA
- FERDYNAND GOETEL — „DO CZEGO NADAJĄ SIĘ POLACY”
- RYSZARD MATUSZEWSKI — LIRYKA WOJNY W DOBRZYŃSKIM ZAŚCIANKU
- WANDA GRODZIENSKA — TRZY PRZEKŁADY KSIĄŻEK DLA DZIECI
- MARIA JANION — POLONISTYCZNE OBRACHUNKI PRZEGLĄD PRASY, KORESPONDENCJA NOTY

^{*)} Głos w dyskusji o prozie. Patrz artykuły J. Kotta w 35 Nr „Odrodzenia” M. Jastruna i S. Żółkiewskiego w 37, A. Ważyka w 42 Nr „Kuźnicy”.

poezja. Rozkwit naszej powieści pod koniec XIX stulecia miał miejsce wówczas, gdy w literaturach zachodnich, na których u nas wzorowano się przede wszystkim, występowały już objawy przekwitania. Ujawniło się to w czasach „Młodej Polski”, gdy wystąpiły silne prądy estetyzujące, które beletrystyce w ogóle, jak się okazało, nie wychodziły na zdrowie. Rozkwit u nas występuje niemal równocześnie z pewnym przekwitem. Jeśli nastąpiło w ostatnich dziesięcioleciach pewne rozszerzenie społecznego zasięgu, to znowu w sposób nader nierównomierny, nie zapewniający naszej kulturze literackiej niezbędnej ciągłości. Niemożliwe to było bez kardynalnej zmiany warunków społecznych wytworzenia nowej warstwy odbiorców i czytelników, mającej stosunek do literatury bardziej solidny i pewny niż to bywało dotychczas. Niedawno Jerzy Borejsza, stwierdził, że sfera oddziaływania słowa drukowanego u nas obejmuje zaledwie jakieś 6 milionów ludzi na 23 miliony mieszkańców. („Na rogatkach kultury polskiej”). Tu mamy zagadnienie kapitałowe, słabość masowej bazy czytelniczej, łączy się z owym to odświeżeniem uroczystym, to znów grymasie względliwym stosunkiem do literatury, odziedziczonemu jako się rzekło po naszej „warstwie historycznej”. Tutaj, na co słusznie wskazuje autor cytowanej broszury, zmiany trwałe i pozytywne mogą nastąpić w wyniku realizacji planu kulturalnego, obliczonego na dalszą metę. Powstanie nowych warunków dla literatury winno zmienić jej postać, co wszakże może nastąpić tylko stopniowo.

III

Można oczywiście powiedzieć, zostawcie w spokoju warunki historyczne, to minęło. Stoimy w obliczu całkiem nowej rzeczywistości, literatura powinna się do niej przystosować. Skoro nie nadaje, to wina subiektywnego nastawienia literatów.

Majakowski w jednym ze swych poematów wyszydzał tradycyjne pojęcia o poecie śpiewaku, co to jak ptaszek śladzie sobie na gałązce i nuci ku przyjemności słuchaczy. Przeważnie laicy uważają literaturę za nader prostą, żywiołową sprawę. Zresztą i wśród literatów często brak zrozumienia zjawiska, że w nowoczesnym społeczeństwie literatura stanowi złożony kompleks zagadnień najróżnorodniejszych, w których człowiek piszący przy biurku, stanowi element podstawowy, ale nie jedyny. I nie tylko jego subiektywne nastawienie może zarządzić brakom literatury.

Wszyscy wolelibyśmy mieć lepszą komunikację, większą produkcję wytworów przemysłu na głowę. Ale jeśli ktoś brzydko wspomina „polskie drogi” obwinia o stan rzeczy nasze czynniki administracyjne, sprawujące pieczę nad komunikacją, powiemy, iż jest to po prostu malkontent — sprawy naszego zacołania w dziedzinie komunikacji — sprawa „polskich dróg”, to sprawa historycznego opóźnienia rozwoju — oskarżać dzisiejszą administrację o to możnaby w tym jeno wypadku, gdyby się nie widziało usiłowań naprawy tego stanu.

Kiedy w literaturze widzi się człowieka przy biurku piszącego i ma mu się za złe, iż literatura nie całkiem odpowiada wymaganiom, mamy właśnie podobne stawianie zagadnień. Nie można brać porównań literalnie, ale nasze pozostawanie w tyle w dziedzinie kultury literackiej ma pod wielu względami analogię w dziedzinie gospodarczej. Tam braki istniejące nie zależą całkowicie od ludzi zasiadających przy biurkach urzędowych, w laboratoriach przemysłowych i kreslarniach. Robią oni zresztą co można, aby ten stan rzeczy naprawić.

Ważniejsze od zarzutów i oskarżeń test zagadnienie naprawy istniejącego stanu rzeczy i zagadnienie, w jakim stopniu naprawa ta zależy od subiektywnego nastawienia naszego aktywu literackiego. Sam fakt braku solidnych tradycji literatury zawodowej nie zależy od dobrej czy złej woli ludzi piszących. Nasi autorzy zdawna wyrzekali na ten stan rzeczy, stawiający ich w niekorzystnej sytuacji w porównaniu z literatami zagranicznymi, z którymi też przychodziło im toczyć ciężką walkę konkurencyjną na terenie krajowym (tak z przekładami jak i napływem rzeczy oryginalnych).

Niedobór dobrej beletrystyki, jako produktu masowego spożycia czytelniczego, to zjawisko bardzo skomplikowane. Często wysuwa się tu niekorzystne dla nas porównanie ze stanem beletrystyki radzieckiej. Jeśli weźmiemy do ręki np. miesięczniki rosyjskie typu „tolstoj żurnal”, to widzimy tam przede wszystkim znaczną ilość

powieści środowiskowych: z najróżniejszych ośrodków: mamy powieści z życia robotników budowlanych, z przemysłu metalurgicznego z życia rybaków z życia uniwersyteckiego itd. itd. Czytelnik w ten sposób ma jakby możliwość oglądania bez przerwy panoramy beletrystycznej życia kraju.

Podobnie w teatrze: — rokrocznie publiczność radziecka otrzymuje szereg sztuk, lepiej lub gorzej napisanych, ale zawsze na pewnym poziomie ujmujących zagadnienia żywotne, obchodzące widza, często pasjonujące go. Musimy jednak pamiętać, czego się u nas nie docenia, o dawnych solidnych tradycjach literackich Rosji przedrewolucyjnej, że ten typ zainteresowania literaturą nie jest czymś nowym — tradycje

te sięgają z górą lat stu conajmniej. (Już Mickiewicz zastał w Rosji olbrzymie ożywienie literackie — u nas bez analogii). Rewolucja rozszerzyła krąg czytelników, dała nową tematykę, ale odbyło się to na gruncie przygotowanym. U nas pojawiły się zadatki w tym rodzaju w ostatnich dziesięcioleciach ub. wieku (okres rozpowszerechnienia powieści z tezą, powieści społecznikującej), ale znowu bez należytej ciągłości.

Również w teatrze był u nas okres, że widz miał stać do czynienia ze sztukami z „problemem”. Od kilkudziesięciu lat mamy przewagę wśród artystów prądów estetyzacyjnych, wyszydzenie wszelkiego rodzaju „pryncypjalizmu”, jako wrogiemu sztuce. Istotny podstawowy moment, jako

się rzekło, stanowi tu załamanie się rozwoju kulturalnego mieszczaństwa, co nie będąc tylko naszą osobliwością, u nas miało skutki szczególnie dotkliwe, przy słabości ogólnej korzeni społecznych naszej kultury. Nawiązanie do niektórych wzorów z owej doby rozmachu kulturalnego w literaturze na przełomie stulecia ułatwiłoby niewątpliwie procesy rewolucji kulturalnej, o której się mówi.

To są zadania konkretne. Rozwój solidnej beletrystyki zawodowej jak i dramaturgii, dostarczającej regularnie poważnych, pasjonujących widza zagadnień, rozrzucającej w nim zainteresowania społeczne, jest u nas do osiągnięcia. Ale uwarunkowane historycznie braków nie nadrobią same ataki na bezsporne zresztą niedostatki literatury współczesnej.

Brak solidnej masowej powieści występuje u nas przy znamienym zjawisku odradzenia się beletrystyki brukowej — nie jest to bynajmniej zjawisko „żywiolowe”, jakby się mogło na pierwszy rzut oka zdawać — tak było i tak musi być. Sprawa za sługuje na uwagę z różnych powodów — masowością rozpowszechnienia, a więc zasięgiem społecznym wytworów romansu brukowego przewyższają beletrystów lepszej klasy często wielokrotnie. Szkoda więc (czy pożytek jeśli kto woli) będą tu większe. Inny rys znamieny, to zorganizowany charakter zjawiska. Odrodzenie romansu brukowego należy zawdzięczać inicjatywie wydawców i redaktorów, uważających, iż bez szmiry nie sposób się obejść przy nakładach masowych. Tu mamy odwrotną stronę owego medalu „elitarności”. Nie ma żadnych powodów do uważania, iż istnieje jakieś masowe zapotrzebowanie na szmirę artystyczną — istnieje olbrzymie ciągle niezaspakajane zapotrzebowanie na sztukę, jeśli szmira spotyka poklask, to (z wyjątkiem rzadkich wypadków, gdy idzie o elementy zdemoralizowane) — dlatego, że odbiorca nie posiada trafnych kryteriów odróżniających. Zajmuje go wszystko, wszystko bierze ryczałtem za sztukę. Jak wspominałem, w tej dziedzinie mamy do czynienia z organizacją, z pierwocinami planowości. Te wyroby brukowe są w sposób przemysłowy zamawiane przez wydawców i wytwarzane przez ich autorów. Dla czego tak się dzieje? Po prostu ta dziedzinna literatura w sposób taki właśnie quasi planowy przemysłowy sposób rozwijała się przed wojną. Łatwo tu było o wzór i nawiązanie, które nie istniały w regionach „wysokiej” sztuki uważanej za domenę sfer piękno duchowskich.

Jeszcze jedno — generalizująca, nicująca krytyka chętnie operuje uproszczeniami. Należy do nich przeciwstawienie rozwoju literatury faktograficznej, beletrystyce i wyciąganie stąd wniosków o obniżeniu się literatury, nie dorastaniu do wydarzeń. Nawiasem mówiąc faktografie uprawiali najwybitniejsi powieściopisarze, zwłaszcza, gdy chodziło o ujęcie spraw aktualnych.

Wiemy zresztą, iż literatura faktograficzna czy dokumentarna nie jest zjawiskiem czasów nowszych — owszem rodzaje faktograficzne (epistolografie, pamiętniki) zdawien dawna towarzyszyły rozwojowi beletrystyki, nasilenie tego czy innego rodzaju, jego przewaga tłumaczyły się warunkami epoki.

Z drugiej strony każdy kto choć trochę obeznany jest z warunkami warsztatu beletrysty wie, że proces dojrzewania gdy chodzi o zjawiska trwałszej wartości nigdy nie był krótkotrwały. Niezależnie więc od sprawy zasadniczej koniunktury dla tego czy innego rodzaju — przeciwstawienie: reportaż - beletrystyka, wypadła uznać za pewnego rodzaju sztukę retoryczną. Przy generalnej ocenie wszystkie przejawy piśmiennictwa należy brać w całość, dopiero wówczas możemy wyciągać dalej idące wnioski co do stanu literatury, jej pozycji w dzisiejszej rzeczywistości.

W dobie obecnej mamy do czynienia przede wszystkim z nierównomiernościami procesów rozwojowych. Te klasy, te warstwy, które kierują procesami politycznymi, gospodarczymi ostatecznie decydują o kierunku sztuki i literatury. Przewyciężenie nierównomierności przebiegu procesów gospodarczych, społecznych i kulturalnych w dużym stopniu jest kwestią czasu. Nie lekceważąc bynajmniej istniejących wysiłków zawodowców, należy przewidywać i ułatwiać napływ do literatury nowych elementów, które już dziś zaczynają wyłaniać kadry dzisiejszych budowniczych w różnych dziedzinach życia kraju.

Andrzej Stawar

ZYGMUNT RADEK

POŻEGNANIE WAKACJI

Zaluję lata które nie wroci się wcześniej
Mila — nim się nam zima niby książka znuży.
Tys jeszcze wczoraj drzewa oglądała we śnie
Czerwone od jesieni. Sen cię rzadko łudzi.

Te zwierzęta rogate które żyją w jarmie
To już ziemi dojrzalej są ostatnie plony
Kraby złowione w siatkę nim strumień zamarznie
I śma, która łopocze w twej lampie zielonej.

Szeptły, rzewne piosenki — rozkosze zimowe
Odkryją nam odmienne uroki miłości.
W głębi sadów, na plaży jest szczęścia połowe.
Reszta dojrzewa w zimy białej pochyłości.

Ile chciałbym powiedzieć nieznanym ci rzeczy,
Określić formy świeże wpił przeczute ledwie.
Zbiory jesieni śmieją się zarem odwiecznym:
W krostach grzybną winogrod w modrym słoju błędnie.

Szary strus, który stąpa wzdłuż kraty zwierzyńca
Z przerażeniem w ognie widzi mrozu pióra,
Ale zgraja oszczerców w kwadracie dziedzińca
Porównuje go zawsze do wiejskiego kura.

Koguty strzępią gardła, cicho pieją słowiki;
Cały dzień milczy zanim śpiewać się odważy.
Tak poeta widzący wszystko jak Światowid
Z rzadka martwej kamienia wydziera się twarzą.

NOC ALADYNA

Oto już noc do moich poddaszy się zniża:
Zielone kałamarze nocy i jej żagle,
Z wysokich pięt widzę jak mrok tonie w niszach
Murów. W kwadrat podwórza, wkraezają konstable.

Wkrótce rynsztok, ulice, knajpę noc ukaże
W martwym i chłodnym świetle, co ścianami spływa
Wykusze, dachy rosną w cynkowe wachlarze,
Gdzie kurek z blachy pośród dymniku ożywa.

Tak oto w latach moich ja, młody Aladyn,
Szlachetny i wesoly muszę gorzko płakać.
Gdzież podziwały się mroźne, jaśminowe sady
Pasterze trzód, co w polnych zasypiali makach.

Magellan, ten przynajmniej jedną miał poeiechę —
Gniazdo maszty skrzyplące w promienistych sznurach,
Lecz ja mam tylko wieczór ogłuszony śmiechem
Mordercy. Człowiek żywy gubi krew na murach.

Matka jest szwaczka, Świttem warkocze maszyna
Zeszywając miesiące i dni srebrem przedży.
Schylonej nad żelazkiem szybko lata plyną
Zmieniaane krojem koszul i brakiem pieniędzy.

Dowidzenia dzieciństwo. Drewniany koń szachów
Stracił głowę. Został już tylko żołnierze.
Zbrodniarz, co w kazamatkach drżał siny ze strachu,
Czarne chorągwie katów wyciąga na wieże.

Wasz orzeł z terrakoty próżny jest we wnętrzu.
Zadrutowaną głowę jakże łatwo złamię.
Zwycięzacie, gdy zürada snuje uć pajęczą,
A przekupiony strażnik klucze dzierży w bramie.

Czarny cień ludobójcy na mych śladach ąrzemie
I okrywa mnie sukni falbaną, wysoki.
Moja rozpacz jest rakiem, tkanką w chorym drzewie.
Z głębi szybów odwiecznych głuche słyszę kroki.

Venus! Tak małoś gaśnie. Uśmiech tylko czysty
W błędniku brzydkich ulic drogę mu wyznaczy.
W miasta nurty zatapiał wzrok nierzeczywisty
Drzemiące w bramach kurwy czekają bogaczy.

Szafir żalu trwa skośnym oblicza konturem
I małości wzgardzone żyją jak rozgwiazdy.
Cienie na ścianie krzepną wawrzynowym sznurem,
Szklęm tłuczonych butelek sterczą rysów maszty.

Ostrze jest bliżej gardła. Ratuje w godzinie
Utraty równowagi żyrandoi stożkowy.
Potwory geografii ryte w stearynie
Uśpią mój głód, nim zbudzi mnie ranek stalowy.

O blaski wirujące, magiczna latarnio!
Piękne marzenia stają się kinem tygodnia.
Niby trzmielce, co śladem dzikich róż się karmią,
Wyszące sen trujący, zapomnę o zbrodniach.

Patrzcie! Zrodzona z morskiej fałi piękna Nike
Bez rąk i głowy — wspiera lot spadochroniarza.
Tysiąc miast obudzono alarmowym krzykiem.
Artyleryjskie ognie drżą w mieszkańców twarzach

Prawda, mam wuja lotra, który życie strawił
Nad ruletką i plasek przesiewał na prerii.
Czarodziej jesii lampy nieskradnie, postawię
Pałac nowy w ogrodów białych pasmanterii

Ze jak ekwiłbrysta tańczyłem na linie,
Równowagi nie tracę nad zgrają lotrzykowy.
Bywaj lampy Geniuszu.

Przyniosę Ci niedługo wieńce różwieńników.

— Sałem Aladynie.

WACŁAW KUBACKI

ANDRZEJ STRUG, PO LATACH*)

N AOGÓL nie docenia się roli, jaką gra tematyka w ocenie twórczości każdego pisarza. Zarówno krytyka w szerszym znaczeniu tego słowa — czyli sfery czytelnice — jak i krytyka w sensie ściślejszym, krytyka właściwa, potyka się o tę sprawę. Pierwsza częściej, druga rzadziej — to prawda, mała jednak z tego pociecha. Ważna jest sama możliwość takich potknięć, możliwość zweksławiania czyjejs twórczości na niewłaściwe tory. Temat może się okazać ścieżką prowadzącą w dziedzinę pozaliteracką — szlakiem przemytu. Gdyby istniała krytyka poznania literackiego, możnaby mówić przez analogię do pomysłów Bacona z Verulam o „idolum thematicum“. W tym świetle problem „sztuki abstrakcyjnej“, „czystej formy“ — jeśli zostawimy na boku uzasadnienia specjalne, szeroko i mniej lub więcej zawile wyłożone przez powołanych teoretyków — nabiera znaczenia rekompensaty estetycznej. Byłoby to coś w rodzaju artystycznego „Wunscherfüllung“, ma znaczenia o moralnym odszkodowaniu twórców za wszystkie nieporozumienia, których przyczyną stały się kiedykolwiek tematy dzieł.

Niebezpieczeństwo „tematyczne“, a ogólnie mówiąc niebezpieczeństwo fragmentaryzmu estetyczno - poznawczego, nieorganicznego ujmowania dzieła sztuki, ma na gruncie polskim tradycje specjalne, powiedzmy — niepodległościowe. Rzecz ciekawa, że niemależ zamieszania narobili sami twórcy. Jednemu z brzemiennych nieporozumień teoretyczno - literackich zawinił Żeromski. Konflikt społecznika i artysty w pisarzu pojmował Żeromski fałszywie. Powojenna walka o t. zw. wyzwolenie literatury ze służby społecznej zawierała błąd zasadniczy: sugerowała atomistyczną teorię sztuki. Że niby w dziele może istnieć osobno artysta a osobno wkładki społeczne; osobno piękno a osobno tendencja itp. W tym samym kierunku, choć wychodząc z zupełnie innych założeń, pracowała krytyka powieści jako gatunku literackiego, dokonana przez St. Ign. Witkiewicza. Rozprzężenie teoretyczne w zakresie powieści można było opanować w dwojaki sposób: centralistycznie, podkreślając „całościowy“ charakter dzieła i ustalając hierarchię stref, albo, zgadzając się na autonomizm poszczególnych składników, odmówić powieści prawa do miana dzieła sztuki. Witkiewicz wybrał drogę „autonomizmu“. Był to czyn rozpaczliwy, który rzecz prosta nie mógł uratować sprawy.

Tej ogólnej sytuacji historyczno-literackiej nie należy tracić z oczu, gdy przystępujemy do któregoś z pisarzy z pokolenia „urodzonego w niewoli“. Twórczość Struga wymaga niemależ ostrożności klasyfikacyjnej. Od zewnątrz rzecz biorąc trudno o pisarza bardziej zorientowanego społecznie i historycznie. Całe dzieło Struga można wpisać w określony okres dziejowy. Jednym końcem opiera się ono na powstaniu styczniowym („Ojcowie nasi“) i rewolucji, drugim — na kryzysie światowym („Miliardy“). Mamy pokolei: powstanie, rewolucję, nastroje porowolucyjne, legiony, wojnę światową. Polskę powojenną i wielki kryzys gospodarczy. Zwodzą tytuły gospodarcze i społeczne, jak „Pieniądz“ lub „Pokolenie Marka Świdry“.

Tymczasem, kiedy czytujemy się w Struga, spostrzegamy ze zdziwieniem, że to co skłonni byliśmy uważać za kościć jego twórczości, gra w tej twórczości rolę uboczną. Rozpływa się Strug „społeczny“ i „historyczny“ (w stylu niepodległościowym). Staje przed nami Strug nowy, ten, który w „Pokoleniu Marka Świdry“ wygłasza program psychologiczny. Kto wie, czy nie możnaby nawet mówić o panpsychologizmie.

„Nie kronika wydarzeń. — czytamy, — nie uczoney traktat polityczny i nie dyplomata, nie filozof, nie socjolog dadzą odpowiedź na to co w nas podświadomie nurtuje, co nas trapi i nie daje żyć spokojnie. Tylko sztuka i tylko artysta...“

„Nie dzieje gabinetów, sejmu, dyplomacji, przesilen, rozłamów, intryg, skandali, aktualności. Nic z tego co najbardziej głośnie w zgiełku dnia, co zaprzęta wszystkich i każdemu nastęrcza się bezczelnie, a co w głębinach życia narodu nie znaczy nic zgoła. W skupieniu mądrości, w natchnieniu, które daje



Andrzej Strug

ukołochanie swego narodu, trzeba wkroczyć w tajemną gęstwę życia. Dojrzeć to, co się ukrywa na samym jego dnie, w ciemnych czeluściach dusz. Odkryć, skąd wychodzą owe źródła podziemne, które jak pierś matki karmią wszystko co żyje.“

Słowa Struga brzmią, jak krytyka tej odmiany powieści, z której od czasów Balzaka jesteśmy szczególnie dumni. Strug zdaje się lekceważyć cały dorobek powieści społecznej, głosić romantyczną koncepcję sztuki oraz indywidualistyczną koncepcję życia i dzieł. Drogę, wiedzącą przez psychologię indywidualną do życia narodu, wskazał Strugowi Dostojewski. Strug we wstępie do polskiego zbiorowego wydania pism autora „Braci Karamazowych“ zwrócił na to uwagę.

Strug nie zajmuje się sprawami, lecz jednostkami. W opowiadaniach „Pan i parobek“ lub „Polaki“ (z tomu „Ojcowie nasi“) stosunek chłopca do powstania odbiega od schematu patriotycznego, do którego przyzwyczaili nas literatura. Strug uczynił z tego — w tamtych czasach! — problem psychologiczny. „Portret“ i „Chimera“ potracają o rewolucję, nie są przecież powieściami o rewolucji. — W „Portrecie“, najbardziej żarliwej swojej książce, zajął się Strug psychologicznym refleksem rewolucji w jednostce stojącej poza rewolucją. Rewolucja wywołuje tu ubożenie i przypadkowo przewrót duchowy. Zważmy, że Strug nie czyni ze swego bohatera symbolu ocknięcia się społeczeństwa. Boże broń! To jest prywatna sprawa jednej osoby i nie więcej. Często stwierdza się zależność Struga od Żeromskiego. „Portret“ zwłaszcza swym lirycznym stylem przypomina Żeromskiego. Rewolucjonistka Kora jest siostrą wielu wzniosłych szaleńców autora „Urody życia“. A przecież właśnie na „Portrecie“ najłatwiej uchwycić różnicę artystyczno - ideologiczną między Strugiem a Żeromskim (wyłączam w rozważaniach poza nawias różnicę czysto artystyczną). Żeromski ze sprawy prywatnej robi zazwyczaj sprawę polityczną. Strug natomiast. W wielkich publicznych sprawach szuka człowieka i jego prostej, ludzkiej tragedii.

Żeromskiego cechuje patos uogólnień. Bohaterowie Struga nie są przedstawicielami spraw ogólnych, albowiem są zbyt indywidualni i prywatni. W „Pokoleniu Marka Świdry“ Strug zdradził siebie i poniósł klęskę artystyczną. Świdra zatracił cechy indywidualne, a nie osiągnął w wyraźniejszym stopniu cech reprezentacyjnych. W „Złotym Krzyżu“ mamy tragedie ludzkie, nie wojnę, lecz ludzi udurczonych wojną. Powieść „Miliardy“ mogłaby nosić tytuł „Miliarderzy“, ponieważ w tym utworze, jak i w „Pieniądzu“ do głosu dochodzą sprawy indywidualne. Co więcej, wiele z tych spraw mogłoby się dziać również poza sferą finansjery.

„Mogila nieznanego żołnierza“ nasuwa porównanie z „Łukiem“ Kadena - Bandrow-

skiego. Obie powieści zajmują się życiem poza frontowym, obie są umiejscowione w Krakowie i obie — niepodobne do siebie. Każen przedstawił środowisko. Struga to nie interesowało. U Kadena żywa, z krwi i kości uformowana, kobieta ulega rytmowi przemian obyczajowych. Staje się symbolem ogólnego, pozasobowego procesu. Spostrzeżenie to potwierdza dokonana przez T. Brezę analiza „Czarnych skrzydeł“ („Ateneum“, Nr 1). — Strug z podobnej sprawy czyni dramat osobisty pani Łazowskiej, dramat wierności i zdrady małżeńskiej. Zdrada pani Łazowskiej ma w powieści sens prawie mistyczny, dopiero ta zdrada odcina Łazowskiemu drogę do kraju. Taki sam dramat przeżywa pani Hanka w „Odnazce za wierną służbę“ i Hita w „Złotym Krzyżu“. Trudno tego rodzaju problemy podciągnąć pod kategorię: temat wojenny. Dramaty kobiet Struga — mimo chodem zaznaczyć, że kobiety są u Struga uczuciowo aktywniejsze od mężczyzn — mogą się dziać również w czasach pokoju. Są to bowiem dlań dramaty nie okolicznościowe, uwarunkowane historycznie, lecz zasadnicze i wieczne.

Tematy są u Struga stale w służbie ulubionych zagadnień etycznych i artystycznych. Strug, wielbiciel Dostojewskiego, interesuje się różnymi dziwnościami psychologicznymi. Przeczucia, wizjonerstwo, psychoza strachu, rozdwojenie jaźni — wcale obfity materiał patologiczny. Temat wojenny dał Strugowi sposobność do psychologicznego studium nad rozdwojeniem jaźni (kapitan Helm w „Złotym Krzyżu“). Temat rewolucyjny w „Dziejach jednego pocisku“ pozwolił opisać zjawisko strachu. Warto też przypomnieć opowiadanie „Na stacji“.

W „Dziejach jednego pocisku“ znajdujemy znamieny pod tym względem szczegół. — Występuje tam psychiatra, sympatyk rewolucji, który przechowuje w swym mieszkaniu bomby, aby móc obserwować u siebie objawy niepokoju i strachu, potrzebne mu do pracy naukowej. Podobny charakterystyczny szczegół mamy także w „Złotym Krzyżu“, gdzie jedna z ofiar wojny, von Senften, wyzyskuje dla celów literackich swe zdolności mistyfikacyjne, rozwinięte przez przejścia wojenne do rozmiarów groźących klęską psychiczną.

„Fortuna kasjera Spiewankiewicza“, to „quasi una hallucinatio“. W zbiorze „Kronika Świeciechowska“ występuje wizjoner Działoszek. W zbiorze „Klucz otchłani“ mamy tragicznie obłąkanego „Żołnierza spod St. Beat“, religijnego pomylenia (niesamowitego kpt. Smurowa („Klucz przepaści“) i psychicznie zagadkowego oficera francuskiego w opowieści „Uczta zwycięstwa“. Motyw przeżyć w „Pokoleniu Marka Świdry“ stwarza nastrój dziwności nie psując efektów artystycznych. Nie zawsze tak bywa. W „Mogile nieznanego żołnierza“ nie posługuje się

nim Strug szczęśliwie. Wizjonerstwo Nelly gra rolę kompozycyjnego łącznika między dwiema sferami powieści: dziejami ojca w niewoli i matki w kraju. Obie te sprawy przeplatają się nieco sztucznie — rozdział o ojcu następuje po rozdziale o matce i tak do samego końca z nużącą „jednostajnością“. Wizje Nelly spawają te dwie sfery powieściowe, równocześnie jednak osiabiają zainteresowanie czytelnika. Czytelnik nie może przeżyć w pełni niebezpieczeństw wiszących nad głową Łazowskiego, gdyż z wizji Nelly naprzód wie, że ojciec i tak wyjdzie ze wszystkich tarapatów cało. Tutaj jeden problem artystyczny (dziwność psychologiczna) stanął w drodze problemowi, którym zajmujemy się z kolei. Jest to problem fabuły.

Strug jest mistrzem interesującej fabuły. Szwankuje natomiast u niego kompozycja. — „Sine plamy“ (ze zbioru „Kronika Świeciechowska“) są przykładem zdolności zaciekania i równocześnie niedbalstwa w opracowywaniu pomysłów fabularnych. „Fortuna kasjera Spiewankiewicza“ częściowo straciła na zbyt „wyżyłowaniu“ pomysłu. — Strug lubił forsować swoje pomysły. „Dzieje jednego pocisku“ świadczą zarówno o skłonności do forsowania pomysłów jak i do luźnej kompozycji. Pisarz najczęściej stosuje schemat dwudzielny, t. zw. przeplatankę dwu akcji. — W „Miliardach“ mamy nawet przeplatankę akcji z dyskusją. Ten schemat kontrastowy spełnia w twórczości Struga różne zadania. Bywa dyskretnym środkiem satyrycznym (ironiczna „symbioza“ świata finansjery ze światem bandytów). Miewa akcenty społeczne (motyw górnych i dolnych pokładów „Atlantidu“ w powieści „Pieniądz“, na wiele lat przed „Granicą“ Nałkowskiej). Najczęściej jednak służy do regulowania tempa fabuły.

Pomysłowość fabularna Struga nosi znamiona sensacyjności w szlachetnym zresztą tego słowa znaczeniu. Opowieści rewolucyjne, dzieje agitacji, ucieczek, przekradania się przez granicę, zamachów, dostarczyły pierwszorzędny materiał sensacyjny. Jako socjalista i patriota wyżywa Strug swe wrodzone zdolności do „roman d'aventures“. — Wśród przygód Łazowskiego w „Mogile nieznanego żołnierza“ (1922) najbardziej emocjonującą partię stanowi starcie Łazowskiego — Kirilowa z Simonowem. Przy sposobności przypomnę, że Goetel użył tego samego sensacyjnego motywu w „Kar-Chacie“ (1923). — Przyczynek interesujący dla socjologii motywów literackich! Podobnie „sensacyjnie“ wyżywa się Strug jako „pacyfista“ w cyklu szpiegowsko - wojennym! To samo w ostatniej powieści gospodarczo - społecznej! Znowu walą się podziały tematyczne. Powieść rewolucyjna, pacyfistyczna, społeczna, to formułki nieistotne! Pod różnymi etykietami występują ciągle te same problemy twórcze. W miarę rozwoju sił twórczych Strug cedeł mował coraz szersze tematy, coraz poważniejsze zagadnienia. Twórczość jego zatacza imponujące kręgi od opowieści „partyjnych“ do spraw ekonomii światowej. Tej ekspansji tematycznej towarzyszą coraz świetniejsze wyniki psychologiczne (niektóre partie t. III „Złotego Krzyża“) i coraz większa sprawność fabularna, ujawniona zwłaszcza w „Miliardach“. Zakresowi „społecznych tematów“ nie odpowiada jednak natężenie problematyki społecznej. Przy wszelkich pozorach twórczości społecznej Andrzej Strug ani z temperamentu, ani z postawy artystycznej - ideologicznej nie był pisarzem społecznym.

Wacław Kubacki

TREŚĆ N-RU 49:

Adolf Rudnicki — Ucieczka z Jasnej Polany; Stefan Żółkiewski — Aktualna problematyka literatury współczesnej; Paweł Hertz — Rzeki; Ryszard Matuszewski — Trzeci Sejm Literacki; Leon Gomolicki — Droga do Rosji (III); Kazimierz Brandys — Opowiadania behawiourysty; Bolesław Dudziński — Sam na sam z przyrodą! Tadeusz Drewnowski — Opowiadania o zwycięstwie; Paweł Ettinger — Aleksander Radiszczew; Kazimierz Budzyk — Cenna praca językoznawcza; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

*) Z przygotowanego do druku tomu studiów pt. „Krytyk i twórca“.

KAZIMIERZ BUDZYK

Jeszcze dyskusja nad przedmową do „Lalki”

W serii nowych ujęć naszego dorobku literackiego ubiegłych epok najbardziej wyróżnia się dyskusja o „Lalce” zapoczątkowana przez studium Kotta w „Kuźnicy” (R. I, Nr 13 — 16). W dyskusji brali udział: J. Kulczycka-Saloni i Z. Kałużyński.

Wyjaśnienie wszystkich zderzających się w tej dyskusji stanowisk jest bardzo pożądane nie tylko dlatego, że w sumie pogłębimy swój pogląd na „Lalkę”, ale też, że trafniej będziemy mogli wybrać metodę najbardziej sprzyjającą poznaniu analizowanych faktów.

Więc przede wszystkim metoda. Atakowanie naszych historyków literatury „od Feldmana do Szwejkowskiego” z pozycji zajętych przez Kotta nie wydaje mi się właściwe.

Odmienność metod ujawnionych w dyskusji można nieobowiązkowo określić na razie jako nakaz lojalności trojakiemu rodzajowi: wobec literatury, wobec autora, wobec prawdy historycznej. Pierwszą odmianę lojalności narzucają sobie jako świadome

ograniczenie Kulczycka-Saloni a jeszcze bardziej Kałużyński, bezkompromisowym wyznawcą drugiej chce być w swej interpretacji Szwejkowski, balwochwalczy zwoleńnikiem wobec prawdy historycznej pragnie zostać Kott. O cóż we wszystkich tych trzech wypadkach chodzi?

Kałużyńskiego lojalność wobec literatury polega na programowym wyodrębnieniu szeregu artystyczno-literackiego i zdecydowanej jego izolacji: dzieło literackie musi być wyjaśniane tylko i wyłącznie w kontekście literatury. Przy wyjaśnianiu zawartości ideowej „Lalki” „obowiązuje — zdaniem Kałużyńskiego — nie podręcznik historii wieku XIX a utwór literacki; falowanie przemian, ale nie tak pokazane jak przebiegało w dziejach politycznych, lecz tak jak odbiło się na twórczości”. Wobec tego Kałużyński konstruuje „dzieje mieszczaństwa widziane poprzez literaturę”, tworzy epoki i podziały, które, jak sam przyznaje, mogą być tylko „złudzeniem rekwizytorni i mody literackiej” i w tego rodzaju systematyce szuka miejsca dla „Lalki”. Inna rzecz, że

taka lojalność wobec literatury jest u Kałużyńskiego nie lojalnością w stosunku do literatury polskiej. Warto bowiem zauważyć, że owa systematyka wyznaczona jest niemal w całości przez literaturę obcą (głównie francuską) a nie polską. Gdyby więc nawet miała ona w zasadzie jakiś sens teoretyczny, to tylko w zastosowaniu do literatury francuskiej a nie polskiej.

Szukanie wyznaczników zawartości ideologicznej utworu tylko i wyłącznie w dziedzinie literatury możliwe byłoby wtedy, gdyby istotnie wszystkie dzieła literackie były papierowym przetworzeniem papierowego materiału i w zasadzie musiały być pozbawione bezpośredniego kontaktu z życiem. Nie trzeba, jak myślę, wytaczać argumentacji „wydatniającej fałszywość tego rodzaju „teorii” literatury. Jest to bowiem rzecz jasna, że literaturę wyznacza przede wszystkim rzeczywistość pozaliteracka nie tylko zresztą w sferze ideologii. Teza ta nie jest wcale czymś nowym. Weźmy nawet tak niepodważaną pod tym względem dziedzinę badań jak głośny przed wojną forma-

lizm. Język poetycki różniło się tam od języka komunikatywnego m. in. po to, żeby wykryć „zależności pierwszego od drugiego; zależności te mają charakter procesowy o wiele bardziej prawidłowych, nomotetycznych od zjawisk zachodzących w języku poetyckim niezależnie od systemu językowego pozapoetyckiego”. Tak pisał w swych „Studiach z metryki polskiej” Siedlecki, który wręcz tam nawet oświadczył: „Nie wierząc w izolację poszczególnych szeregów kulturalnych i szerzej — społecznych, zajmujemy się też (w II cz. tychże „Studiów”) kwestią całkowitego pozaliterackiego „zewnętrznego” uwarunkowania form wersyfikacyjnych”. Cała Siedleckiego teoria o transakcji metrycznej jest na tej tezie oparta. Równie widocznie uderza to w „formalnej” teorii estetyki, która wręcz zakłada konieczność analizowania języka literatury w rozszerzonym kontekście językowym pozaliterackim. Inaczej tego nie umie robić. Jest szkodliwym nieporozumieniem sugerować, że zasadą „czystej analizy formalnej” jest „nie znać niczego poza tekstem utworu”.

Jeśli więc ową hiperlojalnością wobec literatury nie da się obciążyć nawet „formalizmu” (w artykule Kałużyńskiego są wyraźne w tym kierunku aluzje), któż do niej już dzisiaj się przyzna? Mam wrażenie, że i Kałużyński z niej się rychło wycofa, gdy rzecz głębiej rozważy i dostrzeże teoretyczną bezzasadność swej tezy.

Wobec literatury chce być bardzo lojalna także i Kulczycka-Saloni, która pragnie „obudzić wątpliwości, czy możliwa jest do przyjęcia konstrukcja Kotta” poprzez przypomnienie znanych wszystkim faktów historyczno-literackich oraz interpretację zawartości treściowej „Lalki”. To drugie sprowadza się do niewątpliwie słusznego postulatu, żeby czytać w tekście to, co w nim jest, a nie co się zgadza z założoną konstrukcją — natomiast wydobywanie faktów historyczno-literackich z epoki nie może, jak sądzę, podważać nowej interpretacji utworu. Cóż bowiem stać, że Prus nie należał do „stronnictwa” pozytywistów, że był z nimi skłócony, że za gościa uważał go tam Świętochowski, że surowo go ocenił Chmielowski, że wreszcie w dużej go mieli estymie postronni obserwatorowie pozytywistycznych bojów. Cały pierwszy odcinek dużego artykułu poświęcony jest przypomnianiu tego rodzaju faktów, tak jakby konfiguracja życia literackiego epoki mogła zaważyć na metodzie i celu poznawczym współczesnego badacza. Znowu więc przesadna lojalność wobec literatury (tutaj na odmianę wobec życia literackiego) przynosi ograniczenia niekorzystne i oddala nas od poprawnego rozwiązywania problemów postawionych przez Kotta.

Interpretacja zawartości ideologicznej dzieł Prusa dokonana przez Szwejkowskiego zamyka się w kręgu przekonań pisarza wyrażonych explicit w jego działalności publicystycznej. Obowiązuje tu całkowita zgodność udowodniona każdorazowo poprzez konfrontację Prusa z Głowackim, który nawet tę publicystyczną stronę swego piarstwa ponoć wyżej sobie cenił niż powieści, czego ma dowodzić zaangażowanie w nim prawdziwego nazwiska, podczas gdy twórczości artystycznej udzielił Głowacki tylko pseudonimu. Dialektykę ideologiczną wyznaczają poglądy wyrażone w „Kronikach tygodniowych”, nowele i powieści są jej tylko ilustracją lub rozwinięciem i nie czym więcej.

Atakując ryczałtem naszych „Alchemików literatury” nie dostrzegamy olbrzymiego postępu, który się dokonał w wyżej sformułowanym postawieniu sprawy. Nie tak dawno przedtem przecież wyjaśniano się u sposobieniem poety, jego kolegami i rodzinami, komplikacjami życia erotycznego, stosunkiem do Boga i ojczyzny, tragedią rozdartej duszy, czy uniesieniem z znanego szczęścia. Tutaj natomiast twórczość artystyczną traktuje się jako przejaw działalności odbywającej się w pewnej konkretnej epoce historycznej, wyjaśnianej wraz z innymi formami działalności poglądami na konfigurację określonej i zmieniającej się w czasie sytuacji społecznej. Od Kallenbachów do Szwejkowskich jest jednak droga bardzo daleka i choć znaleźliśmy się w punkcie, który jest jeszcze dość odległy od celu, musimy przyznać, że ogólną orientację o rzeczy udało się w ten sposób uzyskać. Lojalność wobec pisarza po-

PAWEŁ HERTZ

NAGRODA NOBLA 1947

„Polityka w dziele literackim to strzał z pistoletu podczas koncertu, to coś wulgarnego, czemu jednakże nie można nie poświęcić uwagi”.

Stendhal: Pustelnia parmeńska t. 2, rozdz. 28.

PRZYTOCZONY wyżej cytat stanowi wypowiedź dość zasadniczą. Stendhal przywiązywał widocznie znaczenie do swojej formuły, jeśli znajdujemy ją nie tylko w 23 rozdziale z tomu „Pustelnia parmeńska”, ale i w 14 rozdziale nigdy nie tłumaczonej na polski „Armance” oraz w 22 rozdziale „Czerwonego i czarnego”, gdzie wyżej przytoczone zdanie wypowiada prawie w całości pisarz w rozmowie z wydawcą. Pisarz wypowiada je jako zarzut, wydawca odpowiada na to: Jeśli postaci pańskiej książki nie będą mówiły o sprawach polityki, to znaczy, że nie będą to już Francuzi z roku 1830, a pańska książka nie będzie zwierciadłem, wbrew temu, co pan zamierzył.

Ten przydługi nieco odwrót do Stendhala był mi potrzebny po to, by móc stwierdzić, że jeśli nie będziemy się zajmowali również i polityczną stroną zagadnień literackich, wówczas przestaniemy być Europejczykami z roku 1947. Czy mi się to podoba, czy też nie podoba, nie mogę nie uznać, że twórczość literacka odbywa się w świecie realnym, a oddziaływanie książek, bez względu na zamiar autora, jest również oddziaływaniem politycznym.

Oto z kolei drugie ogniwo mojego namsłu nad tegoroczną nagrodą Nobla, która przypadła w udziale ostatniemu klasykowi mieszczańskiej Francji, André Gide'owi.

Ktokolwiek zajmował się nieco poważniej literaturą europejską ostatnich dziesięcioleci ubiegłego stulecia i czterech dziesięcioleci wieku dwudziestego, ten nie mógł nie napotkać w swoich poszukiwaniach książkę André Gide'a. Jeśli by uważnemu czytelnikowi literatury europejskiej zadano przed tygodniem pytanie kto, według niego, otrzyma tegoroczną nagrodę Nobla, to uważny ów czytelnik wymieniłby zapewne wszystkie wielkie, a niewyliczone dotąd tą nagrodą, nazwiska z wyjątkiem nazwiska Gide'a. Nagroda Nobla koronowała dotąd twórczość rozważną i spokojną. Czasem pełną mądrości — jak twórczość Tomasza Manna, czasem pełną surowej krytyki, jak twórczość Rogera Martin du Gard. Ale nigdy nie otrzymał tej nagrody pisarz zbuntowany, przekorny, odkrywający nierozważnie i namiętnie gorzkie prawdy własnego czasu.

Taka właśnie była twórczość André Gide'a — zbuntowana i odważna. Napisałem — była. Czy jest nią nadal? Czy nagrodzono pisarza za bunt i odwagę? Czy może nagrodzono go za co innego? Zaraz się przekonamy.

W ostatnich latach minionego stulecia Gide wystąpił z książką rewolucyjną, jak na ową epokę pozornej stabilizacji. W tej książce Gide uczył swobody, niezależności, potrzeby samodzielnego poszukiwania

prawdy. „Rodziny, nienawidzę was!” — wołał młody kalwin przebudzony z długiego, mieszczańskiego snu. Książka nosiła tytuł: „Pokarmy ziemskie”.

Kolejno walczy Gide z tym wszystkim, co w jego epoce było świadectwem ugody, co krępowało niezależność, co nie pozwalało rozwijać się swobodnie jednostce. Gide występuje przeciwko nacjonalizmowi Barresa, polemizuje z katolicyzmem, podrywa wszelkie autorytety — jakiegokolwiek by one były. Przez długie lata sprzeciwia się zakrzepłej, skostniałej, stęchłej moralności mieszczańskiej. Obraża ją nieustannie: w „Immoralistcie”, w „Corydonie”, w „Lochach Watykanu” w „Falszyczach”. Nicuje nie tylko obyczajowość swojej klasy. Nie wystarczy mu rozbijanie muru przesądów, zaczyna podkopywać jego fundamenty. W „Podróży do Konga” i w „Powrocie z Czad” obnaża okrutny mechanizm kolonialnej administracji francuskiej. Jeśli nawet nie dostrzeżga w tych podróżach prawdziwego źródła zła, jeśli go dobitnie jeszcze nie określa, to w każdym razie ma tę zasługę, iż jest jednym z niewielu pisarzy, którzy ośmielili się zakwestionować czystość cywilizatorskich intencji swojego własnego imperializmu.

W latach po pierwszej wojnie, jak to stwierdza w „Action” Edgar Morin, omawiając krytycznie decyzję sztokholmskiego jury, Gide wywierał wielki i dodatni wpływ na młodzież francuską. Obalając wszystkie autorytety, jakie stworzył świat mieszczański, Gide zdobył sobie sam ogromny autorytet. Był to pisarz bez kłamstwa i obłudy. O tym świadczy jego „Dziennik” z lat 1933 — 36. Dawna nienawiść do mieszczaństwa, stara niechęć do ustanowionego przez mieszczaństwo porządku zaczyna się formować w określony pogląd polityczny. — W 1935 roku Gide bierze udział w antyfaszystowskim kongresie pisarzy, dla których wypadki niemieckie 1933 roku były wielkim i strasznym ostrzeżeniem. Stoi poza partią, ale nieustannie w słowie i w piśmie oświadcza swoją solidarność z międzynarodowym ruchem rewolucyjnym. Od niego właśnie spodziewa się realizacji swego zasadniczego postulatu: swobodnego i pełnego rozwoju jednostki ludzkiej.

W 1937 roku Gide po kilkutygodniowym pobycie w ZSRR napisał niewielką książkę o swojej podróży, wskazując w niej za dziwiającą, jak na autora tak bardzo dbającego o ścisłość, lekkomyślność i pochopność sądu. Gide spodziewał się morusowskiej Utopii, zobaczył kraj w budowie. — Gide spodziewał się, że ujrzy sprowadzony na ziemię mit utopijnych socjalistów. Pokazano mu kraj budowany na zasadach socjalizmu naukowego. Rozczarowanie zamaskowało nowe nieznanie nam, bo nie widoczne dotąd, oblicze Gide'a — liberała z końca XIX stulecia, który przez kilkadziesiąt lat nie buntował się, jak mu się to zda wało, lecz tylko grymasił. Taki bowiem jest ostateczny sens tej niewielkiej broszury,

w której Gide zerwał solidarność ze swoją własną buntowniczą młodzieżą.

W cytowanym już przeze mnie artykule w „Action” pisze Morin to zdanie, które wydaje mi się wzorem obiektywizmu:

„Antykomunizm Gide'a... nie odebrał mu oczywiście jego talentu. Gide wciąż pisze świetnie... Ale Gide w roku 1947 nie ma już za sobą tego, co miał w ciągu dwudziestu lat: nie ma za sobą młodości. Gide nie potrafi już nauczać zapału, uczy lęku, pokory...”

„Dziennik” z lat 1939 — 42, a więc z okresu wielkiej próby europejskiej — jest pamiętnikiem powolnej zgody na to, co się w tych strasznych latach działo. To nie, że w roku 1946 wydaje Gide swojego „Tezeusza” — jedną z najpiękniej napisanych książek. „Polityka w dziele literackim jest jak strzał z pistoletu podczas koncertu...” — uczy nas Stendhal „Dziennik” nie uczy ani buntu, ani nie namawia do sprzeciwu, jak tego uczyły „Pokarmy Ziemskie” lub fragmenty „Dziennika” z lat 1933 — 36.

„Jest rzeczą smutną, gdy nie można podziwiać całkowicie — pisze współpracownik „Action” — tak, jak się tego pragnie. Jest rzeczą smutną, gdy trzeba demaskować obłudę tego, kto potrafił sam zdemaskować tyle obłudy. Jest rzeczą smutną, gdy widzi się, jak kosięte to, co było jednym z najpiękniejszych sumień stulecia. Ale cóż! Kanonizacja się rozpoczęła”. Kogo kanonizowano w Sztokholmie? Autora „Powrotu z Czad” czy autora „Powrotu z ZSRR”? Myślę, że gdy jury sztokholmskie ułożyło na jednej szali cienką książeczkę o ZSRR, a na drugiej kilkadziesiąt książek Gide'a, którym ta właśnie cienka książeczka tak nieoczekiwanie przeczy, to wbrew oczywistemu prawu ciężarza przeważała ta pierwsza lekka szala. Bowiemy: „Polityka w dziele literackim” to co prawda „coś wulgarnego”, ale czemu „jednakże nie można nie poświęcić uwagi”.

Gide, jak słusznie mówi Morin w „Action” nie przestał pięknie pisać. Ale Nobla dostaje się nie tylko za piękne pisanie. Gide otrzymał nagrodę nie za to, że przez pół wieku burzył mieszczańskie przesady, ale za to, że je od dziesięciu lat burzył przestał. Jest to nagroda pocieszenia.

Nic nie zmieniło się w dawnych książkach Gide'a. Każdy wiersz świadczy o tej składowości, która temu pisarzowi jedynie jest właściwa. Nic się nie zmieniło w gorzkich, odważnych zdaniach „Ziemskich Pokarmów”. Mieszkańcy Konga nadal umierają na stronach „Powrotu z Czad”. Wiem to dobrze, bo jestem pilnym i wiernym czytelnikiem tych książek. Dlatego pamiętam też końcowe przesłanie „Pokarmów”: „Natanielu, teraz porzuć moją książkę. Opuść mnie. Natanielu, porzuć moją książkę; nie staraj się nią zadowolić. Nie sądzę, że twoja prawda może być znaleziona przez kogoś innego”.

Bądźmy posłuszni temu wezwaniu.

Paweł Hertz

woduje, że patrzymy na rzeczywistość jego tylko oczami, nie mniej jednak patrzymy na rzeczy istotne i pewną o nich wiedzę faktycznie zdobywamy w ten sposób. Warto zaznaczyć, że dzieje się tak głównie dlatego, iż mamy do czynienia z pisarzem, który sam był niemal uczonym, i że od tego czasu upłynęło zaledwie 60 lat. Zasłudze Prusa i wiedzy epoki pozytywizmu należy przyisać dużą czasami trafność poznawczą prac naukowych Szweykowskiego. Sama metoda przynosi oczywiście ograniczenia, które w innych, mniej szczęśliwych wypadkach mogą prowadzić na manowce.

Zasada lojalności wobec pisarza może być kłopotliwa nawet wtedy, gdy w całej pełni zaaprobujemy jego wiedzę o świecie, snadnie bowiem mogą się ujawnić sprzeczności. Może się zdarzyć, że artysta wyprzedzi uczonego, względnie zwycięży ideologa. Cóż wtedy? Komu dochować lojalności — Prusowi czy Głowackiemu? Ideolog zechce przedstawić wybitną jednostkę na tle społecznego rozkładu, ale co zrobić, jeśli ten wyidealizowany bohater okaże się po prostu wybitnym... aferzystą, który tą drogą pragnie przełamać bariery klasowe dzielące kupca od arystokraty? W takich razach Szweykowski dochowuje lojalności Głowackiemu i z punktu widzenia jego intencji interpretuje dzieło Prusa. Ani ta decyzja nie jest na tyle oczywista, żeby ją bez dyskusji móc przyjąć, ani też nie jest rzeczą bezpieczną stosować metodę, która już w założeniu musi stwarzać tego rodzaju trudności.

Metoda zastosowana przez Kotta szczęśliwie wszystkich tych trudności unika. Lojalność wobec prawdy historycznej — oto zasada, która ma zastąpić lojalność wobec utworu i autora. Czy tylko zastąpić? Nie! — przewyżnić: „aby odstąpić konkretną, historyczną treść tych wewnętrznych sprzeczności: (rozum — uczucie) trzeba przeczytać „Lalkę” do końca, przeczytać choćby nawet wbrew intencjom jej twórcy (podkr. moje), który wierny surowej prawdzie faktów, rysuje narastanie społecznego konfliktu, ale konfliktu tego nie potrafi wyjaśnić”.

Studium Kotta nie jest pracą w pełni doskonałą. Nie mogę się zgodzić z Kałużyńskim, który twierdzi, że artystyczne cele felietonu chronią go od krytyki za ewentualne błędy. Jeśli Kott nie przepuszcza pod tym względem Prusowi, słusznie musi się poddać rygorom o tyle ostrzejszym, o ile mniej „artystyczne” są cele jego szkicu (od si licet...) celów „Lalki”. Zanim zrobi to kiedyś jakiś socjolog literatury z prawdziwego zdarzenia, warto chociażby doraźnie w trybie publicystycznym niektóre jego ujęcia prześwietlić.

Analizując zawartość treściową „Lalki”, powiada Kott, że jest to wielka powieść o kapitalizmie, że jest to polska summa mieszczaństwa napisana przez przedstawiciela pokolenia przelomu. Ze sformułowania tego przebiega wyraźnie negatywny stosunek autora do dotychczasowych sposobów interpretowania „Lalki”. Zdaniem Kotta nie można uważać „Lalki” ani za prezentację wiecznie się przewyżniających sił duchowych (uczucie — rozum), ani za historycznie w pewnym punkcie uchwycony kontrendans między romantyzmem i pozytywizmem (wybitna jednostka — ogół) ani wreszcie za przejaw dialektyki poglądów Prusa. Przewroty społeczne odbywają się bowiem w realnej rzeczywistości historycznej, a nie w duszach jednostek, na kartach literatury, czy w słowach powieściopisarzy.

Twórczość i rzeczywistość — krytyka literacka i socjologia... W obecnym stanie rzeczy istotnie bardzo jest trudno powiązać dwie te dziedziny, które najczęściej rozpatruje się w sposób sugerujący złudzenie, że równocześnie jest wynikiem a podobieństwo dowodzi pokrewieństwa.

Wyjaśnienie dzieła sztuki przez odniesienie go do determinującej go rzeczywistości stwarza dalsze niebezpieczeństwa, polegające na zbytym oderwaniu się od utworu. Narażamy się na to, że zdobywszy pewną wiedzę o rzeczywistości ograniczymy się tylko do wylapywania jej odpowiedników w utworze, nawet gdyby ten utwór był w zasadzie poświęcony zjawiskom, które aktualnie nas nie interesują. Krytyka literacka nie jest lepsza, gdy opracowuje temat „kapitalizm w powieści pozytywistycznej” zamiast tematu „Matka Boska w poezji romantycznej”. Kałużyński w zastrzeżeniach tego rodzaju pod adresem krytyki socjologicznej niewątpliwie ma rację. Rację ma również Kulczycka-Saloni, gdy chce, by czytano w tekście to, co w nim jest, a nie co jest zgodne z założoną konstrukcją. Mówię o tym dlatego, że studium Kotta

istotnie może być pod oboma tymi względami nieco niepokojące, choć sędzę, że w zasadzie — i tu różni się z Kałużyńskim oraz Kulczycką-Saloni — jest przykładem właściwego nastawienia sprawy.

Oderwanie się od zadeklarowanej przez Prusa problematyki konfliktu wybitnej jednostki z ogółem będącym w stanie społecznego rozkładu, nie będzie odejściem od rzeczywistości literackiej, jeśli zagadnienie to, uznając je nadal za centralne, przełoży się na inny język. Z języka ideologa na język artysty. Trzeba się przyjrzyć artystycznej konkretyzacji tego problemu i dopiero w niej można się dopatrywać poznawczej roli sztuki w stosunku do przedstawionej rzeczywistości. Kott nie postępuje w ten sposób i dlatego jego studium może miejscami wywołać sprzeciw.

Czytając „Lalkę” przez okulary ekonomisty dostrzega Kott bardzo ciekawe zagadnienia, które istotnie tam tkwią, ale nie stanowią centralnego problemu powieści. Prus rzeczywiście pokazał w „Lalce” m.in. „jak z małego sklepu kolonialnego z pierwszej połowy wieku, gdzie „pryncypał był ojcem i nauczycielem swoich praktykantów i najczujniejszym sługą sklepu, jego matka lub żona były gospodyniami, a wszyscy członkowie rodziny pracownikami”, wyraża spółka do handlu z Cesarstwem, operująca kapitałami arystokracji, a z galanterijnego kupca handlarz bronią”. Pokazał również „jak z kapitału handlowego wyrosła kapitał finansowy”, jak przy jego pomocy powstają „początki imperializmu”.

Jeśli tak się przedstawia ekonomiczna strona medalu, jakież — zdaje się zapytywać Kott — musi wyglądać „jego strona społeczna? Pytanie to ma za sobą wcale nie bylejaką zasadność w tezie o jednorodności przebiegów procesów ekonomicznych i społecznych. I odpowiedź jest „prosta”: „Lalka”, zdaniem Kotta, jest powieścią o awansie społecznym, miłość Wokulskiego do panny Izabeli, mająca jakoby usprawiedliwić krociowe zyski kupca-kapitalisty jest „niewątpliwie ideologicznym wybiegiem, przelnaczeniem motywów przemianą rzeczywistego konfliktu społecznego i obyczajowego w fikcyjną rozprawę z romantycznym pojmowaniem miłości” — no i oczywiście fałszywe z gruntu jest zakończenie „Lalki”: Wokulski powinien się z panną Izabelą ożenić, powinien stracić wszystkie złudzenia młodości, przemienić się w lajdaka, stać się milionerem i przywódcą partii ugodowej. A tymczasem co? — odpalony bohater popełnia samobójstwo przywalony resztkami feudalizmu, „biedna panna Izabela odpowiada jednocześnie za wszystkie winy arystokracji i... kapitalizmu”.

„Lalka” ma być obrazem konfliktu wybitnej jednostki z ogółem będącym w stanie społecznego rozkładu. Takie zadanie powierzył do wykonania Głowacki — ideolog Prusowi — artyście. Owym idealistą, tą wybitną jednostką jest oczywiście Wokulski. A któż to taki Wokulski? — Czy zakapiturzony romantyk? — może zawiedziony kochanek? — reformator in spe? — może przyszy zbacza ludzkości? — nie! Niezależnie od życzeń ideologa artysta pokazał Wokulskiego jako zdeklasowanego ziemianina, który w nowej, kapitalistycznej rzeczywistości dąży do awansu społecznego, czyli do zrównania z arystokracją poprzez zdobycie olbrzymiego majątku. Małżeństwo z arystokratyczną lalką ma być uwiecznieniem starań a nie usprawiedliwieniem jego postępowania.

Arcydziało Prusa rozwija (wbrew opinii Kotta) nadal stały temat naszej powieści:

dzieje degradacji społecznej pogłębionej poprzez fiasko wysiłków w kierunku osiągnięcia awansu. Nie jest awansem społecznym dla zdeklasowanego ziemianina ani wzięcie się do sklepu (od subiekta do kupca), ani dalej przemiana drobnego sklepikarza w międzynarodowego handlarza bronią. Pod tym względem z Kulczycką-Saloni całkowicie się zgadzam. Faktycznym awansem w myśl ideałów demokracji szlacheckiej jest zrównanie z arystokracją, któremu stoją na przeszkodzie bariery wzniesione jeszcze w średniowieczu. Genialny realista ma rację: Wokulski musiał zginąć „przywalony resztkami feudalizmu” i nie podsuwajmy innego, lepiej rzekomo domyślanego do końca epilogu powieści. Warto tylko przypomnieć, że to problem nie nowy. W inny sposób, ale z tego samego powodu zginął już kiedyś Jacek Soplica, którego przeciw również przywalili resztki feudalizmu. Roman tyk postarał się skompensować tę klęskę i dlatego tragedia Jacka znajdzie ostatecznie rozwiązanie ideowo — optymistyczne. „Lalka” natomiast jest powieścią ponurą i kończy się wydziękaniem zadeklarowanego pesymizmu.

Powłada Kott kilkakrotnie, że „Lalka” jest również powieścią o straconych złudzeniach. Jakież złudzenia żywił nie Prus, lecz (trzymajmy się utworu!) Wokulski? Zdeklasowany ziemianin nie dał za wygraną. Ojciec Wokulskiego jako jedynie możliwą drogę awansu widzi powrót do swojej klasy, odzyskanie utraconej ziemi. Młody Wokulski nie darmo jest pozytywistą: wleży w naukę. Jednakże w społeczeństwie klasowym o zaostrzonych konfliktach tedy nie prowadzi droga do awansu społecznego. Gdy te złudzenia Wokulski już stracił, będzie wtedy za późno. Nie będzie już powrotu na pozycję szlachecko-zemiańską, pozostanie otworem jedynie tylko droga do zniechęconego sklepu, droga bez możliwości awansu społecznego, więc też Wokulski straci całą swą energię, która wybuchnie na nowo, gdy się ujawnią nowe możliwości — wielka szansa życiowa, z małego pokoiu za sklepem do buduaru hrabiny. Są to już możliwości zgola odmiennie. Wybijanie się poprzez naukę to były marzenia o awansie społecznym poza konkretną rzeczywistością klasową. I to okazało się złudne: awansować społecznie w społeczeństwie klasowym można tylko i wyłącznie w oparciu o swoją klasę. Były ziemianin, odrzucający solidarność z klasą mieszczańską, ex-kandydat na uczonego był osamotnionym inteligentem, który chciał się odnaleźć w klasie arystokracji jako jedynej, która w jego warunkach mogła mu zapewnić awans. Cóż kiedy resztki feudalizmu okazały się jeszcze wystarczająco żywotne, żeby rozchwiać po raz drugi złudzenia zablakowanego społecznie inteligenta, dla którego robienie pieniędzy nie mogło być ostatecznym celem, bo pozycja ekonomiczna w tamtej sytuacji nie określała jeszcze właściwej pozycji społecznej. Ten szlachcic istotnie „mierzył wyżej — jak pisze Kulczycka-Saloni — niż mieszczański synowie, rzucający hasło bogactwa się i widzący w nim kres swoich dążeń”, ale nie pozwólmy bałamuć się ideologowi — wiermy lepiej artyście, który bezlitośnie demaskuje „złote głoski”, którymi, według Kulczyckiej-Saloni miał się w dziejach ludzkości zapisać Wokulski. Stracone złudzenia Wokulskiego, to tragedia zdeklasowanego ziemianina, któremu społeczeństwo klasowe zamknie drogę do właściwej jego ambicjom pozycji społecznej. Jest to tragedia podwójna: rozchwiała się w ten

sposób złudzenia pozytywisty upatrującego możliwość awansu społecznego z jednej strony poza jakkolwiek klasą w nauce, z drugiej na zasadach klasowych — w bogactwie. Pokazał Prus w ten sposób jeszcze jedno bardzo ciekawe zjawisko: kapitał dla którego nie istniały już wtedy bariery międzynarodowe musiał się cofnąć przed barierami międzyklasowymi, których wtedy jeszcze nie potrafił przekroczyć.

Z powyższego wywodu okazuje się, że „Lalka” istotnie jest m.in. powieścią o kapitalizmie. Pod tym względem Kott się wcale nie myli. Ale żeby móc tę powieść w ten sposób przeczytać, nie trzeba przegrywać fabuły i dokomponowywać nowego epilogu, nie trzeba jednym słowem fantazjować na temat bohaterów i ich losów. Takie jak są, potrafią być najzwyklej wymowne. Wydaje mi się, że błąd Kotta polega na mylnych perspektywach, które zasugerowała mu ekonomia i socjologia. Gdy się mówi o wpływie warunków ekonomicznych na sytuację społeczną, pojmuje się zwykle klasyczny wariant historii społecznej i gospodarczej, który z grubsza biorąc opiera się na analizie rzeczywistości zachodnio-europejskiej, ściślej — francuskiej. Kott ma za złe Prusowi, że Wokulski, wielki aferzysta swojej epoki, jest równocześnie bezradnym kochankiem, podczas gdy bohaterowie Balzaka nie tylko żenią się z arystokratkami, ale też nie pozwalają sobie, żeby „margrabiny z porcelany” za drogą sprzedawały im swoją herbatę. Że się w nich nie wdał Wokulski, Kott wyraźnie ma o to do Prusa pretensję i częściowo tylko udziela mu rozgrzeszenia: „Ale to nie tylko sam Prus winien. Tu — kupiec galanterijny, który niedawno sprzedawał portmonetki i raj utraconego folwarku, a tam — bankierzy w przededniu rewolucji lipcowej”. Właśnie, właśnie! Taki był polski wariant rozwoju kapitalizmu obciążony dodatkowo (co już Kott dyskretnie pomija) tragedią zdeklasowania i jest duża zasługa a nie wina Prusa, że pozostał wierny rzeczywistości i nie dał się wprowadzić w błąd tradycją literacką, choćby nawet była to tradycja Balzaka.

Tego rodzaju swoistych cech przedstawianego przez Prusa procesu jest więcej. Mała agresywność społeczna kapitału, jego wręcz potulność wobec resztek feudalizmu wynika stąd, że w Polsce mieszczaństwo nie przeżyło swojej rewolucji, która na Zachodzie była przeciw rewolucji zwycięską. Za garstką entuzjastów „machin i skalpeli” stała u nas istotnie tylko parotyczna rzesza inteligentów, rozbitków z dworu szlacheckiego. Kott pamięta o tym, gdy wyjaśnia słabą u nas żywotność pozytywizmu, ale zapomina, gdy wytyka jako błąd artystyczne zjawiska będące specyficzną cechą polskiego wariantu procesów społeczno-ekonomicznych, które na Zachodzie przebiegały zgola inaczej. Kto wie, czy ukazane w „Lalce” zróżnicowanie kierunków rozwojowych osobno niektórych zjawisk ekonomicznych (dzieje kapitalizmu), a osobno społecznych (sprawa awansu społecznego) również nie należą do polskiej specyfiki? Kott chciałby te nurty widzieć w jednym łożysku i ma pretensje do Prusa, że „nie domyślałszy” sprawy do końca każdy z nich puszcza oddzielnie i pozwala im rozbiec się we wręcz przeciwnych kierunkach. Historik polskiego kapitalizmu kiedyś tę wątpliwość rozstrzygnie. Na razie jednak wołę w tym widzieć prawidłowość mechanizmu polskiego wariantu rozwojowego, niż oskarżać Prusa o niezgodność jego teorii z klasycznym schematem zachodnio-europejskim, uświęconym ponad to przez podręcznik ekonomii.

Łatwo się domyślić, że Kott odwołuje się do zachodnio-europejskich dziejów gospodarczo-społecznych dlatego, że nie zna wystarczająco własnej naszej historii. Związki zachodzące między zjawiskami ekonomicznymi i społecznymi również rozpatruje tylko na podstawie schematycznego podręcznika ekonomii, bo nie wie jak one konkretnie przedstawiały się w danym momencie historycznym. Nie można tego wysuwać jako zarzut. Socjologia literatury nigdy nie stanie na odpowiednim poziomie, jeśli będzie musiała wyprzedzać szczegółowe studia historyczne. Pretensje za ten stan rzeczy trzeba formułować pod właściwym adresem: historyków i socjologów, którzy nawet w stosunku do swej własnej

NASTĘPNY PODWÓJNY NUMER (51 - 52)

„KUŹNICY” UKAŻE SIĘ DNIA 18. XII. 1947.

ZAWIERAĆ BĘDZIE M. INN. UTWORY:

Louis Aragona, Beniamina Constanta,
Henri Denis, Federico Garcia Lorca,
Georga Lukacsa, Heleny Bobińskiej, Kazimierza Brandysa, Alfreda Gradsteina,
Pawła Hertza, Mieczysława Jastruna,
Jana Kotta, Ryszarda Matuszewskiego, Seweryna Pollaka, Adama Ważyka, Stanisława Wygodzkiego,
K. W. Zawodzińskiego, Stefana Żółkiewskiego

W I E R S Z E

dyscypliny czystego sumienia pod tym względem nie mają.

Oburza się Kałużyński na Kotta, że ten stara się wpisać w „Lalkę” całą historię XIX wieku, wyłapując przypadkowe aluzje do konkretnych wydarzeń z historii. Zarzuć, moim zdaniem, niesłuszny. Za wyjątkiem może przekształcenia się zawieszonych pozytywistów w endeków wszystkie spostrzeżenia Kotta trafiają w sedno, choć czasem niewłaściwie poszczególne zjawiska hierarchizują. Mniejsza zresztą o szczegóły. Zasadnicze dwie tezy, że „Lalka” jest powieścią o kapitalizmie i historii rozwoju społecznego — tezy te są niewątpliwie trafne, odkrywcze, chociaż o kierunek interpretacji i pewne drobne błędy można się jeszcze spierać. W historii rozwoju społecznego przedstawionej w „Lalce” szczególnie interesujący jest problem, który widoczny jest dopiero przez zestawienie „Lalki” z „Emancypantkami”. „Lalka” reprezentuje etap, w którym zdeklasowany ziemianin został osamotniony społecznie stając się jako kandydat na uczonego po prostu inteligentem.

Jesteśmy świadkami narastania inteligencji z rozbitków dworu szlacheckiego przy braku społecznej zawartości powstającej warstwy. Wobec mocno zarysowanych przedziałów w społeczeństwie mieszczańskim inteligenci muszą się czuć jak wyrzuceni poza nawias i bez wyraźnego zdeklarowania się po czyjejkolwiek stronie mają zamkniętą drogę do awansu społecznego. W miarę wypływania na widownię nowych sił społecznych, wrogo nastawionych do każdej grupy społeczności kapitalistycznej dotychczasowe przedziały zaciera się, inteligencja konsoliduje się jako grupa wyraźnie mieszczańska, dostarczając wspólnej platformy, na której zetkną się w zgodzie kupiec, działacz oświatowy, były ziemianin, arystokrata, nawet mało kulturalny w istocie dorobkiewicz. Solidaryzm mieszczański zaczyna święcić triumfy. Teraz już nie stanie na przeszkodzie, żeby Madzia wyszła za Solskiego, a Solska za jej brata Kazimierza, Dębicki będzie w najlepszej komitywie ze wszystkimi, Latterowej będzie w sukurs pospieszał Mielnicki, Korkowiczowie bez zażenowania będą się starali nawiązać stosunki towarzyskie z Solskim. Solidaryzm pozytywisty, który w postępie cywilizacyjnym upatrywał uniwersalne remedium na przewyciężenie konfliktów społecznych uzyskał nowy argument dzięki ujawniającej się możliwości rozbrojenia ich na gruncie nowo powstającej — inteligencji. Równoległe z tym konflikty społeczne przerodzą się w problemy obyczajowe, cudowną choć nieobowiązującą jeszcze formułę „ziemia, prosty człowiek i Bóg”, zastąpi pracowita argumentacja Dębickiego przeprowadzona na kilkudziesięciu stronach druku, wzrok autora będzie się kierował w zaświaty, tu na ziemi postulować się będzie wszechogarniająca miłość, najwyższą aprobatę uzyska nieskończona szlachetność spotęgowana piramidą wręcz naiwnością uosobioną w pozytywnym bohaterze tej powieści — w Madziu.

Fragmentaryczne próbki uzupełnień, które pozwoliłem sobie dorzucić do cennych wywodów Kotta, nie wyczerpują oczywiście wszystkich poruszonych przez niego zagadnień, ani chcą dać inne jakiegoś ujęcie całości. W zasadzie bowiem chciałem podtrzymać tok jego rozumowania wbrew Kulczyckiej-Saloni i Kałużyńskiemu, którzy niesłusznie, moim zdaniem, usiłują pomniejszyć doniosłość nowego spojrzenia na „Lalkę”. Nie należy się zrażać formą eseju, którego wartość poznawcza zależy przecież od zasadności wypracowanej teorii wskazującej kierunek interpretacji i nie potrafi jej zachwiać sama tylko poetyckość tego gatunku. W obecnym stanie rzeczy, przy że-nując skromnych osiągnięciach socjologii literatury oraz historii społeczno-gospodarczej XIX wieku można tylko podziwiać odwagę eseisty, że na tak samodzielny wypad potrafił się zdobyć. Obawiam się, że długo jeszcze będą to takie właśnie sporadyczne i błyskotliwe wypadki, których celowość jest niewątpliwie mimo błędów, jakie z konieczności trzeba będzie popełniać. Przed wojną na solidne studia tego rodzaju stać było w Polsce tylko dwu ludzi: w zakresie staropolszczyzny (reformacja) Wajsbium, z czasów nowszych — Hopensztand. Pierwszy gdzieś się błaka po świecie, drugi zginął tragicznie w czasie likwidacji warszawskiego getta. Opuszczoną przez nich dziedzinę nawiedza teraz od czasu do czasu Stawar, a teraz Kott. Zanim wyrosną nowi badacze doceniajmy ich wysiłek.

Kazimierz Budzyk

ANDRZEJ BRAUN

DELTA

Melancholijne auta już w błękitie spalin utonęły. Od świtu cieśle pracowali.
Woda w martwych kanałach ma kolor jesieni;
Tam latarnie z piernika u gotyckiej sienj wiszą. O, jakże biały jest profil południa!
W dusznych tunelach parków przygrywa orkiestra,
stawy — żalobne źrenice jak studnia,
fatamorgana drżąca — utajony przestrah.
Oliwko słońca! w kaflach drzemie wzrok twój szklany —
noce, kruche od strzałów szumią jak fontanny,
dziewczeta piszcą jak świeże ostrzygi —
tania miłość niemiecką sprzedają na mię.
Nie starczy chleba z lupin dla wszystkich w tym mieście;
czarna Odra w zwierciadłach topielców pomieści.
O, Chanaan kredowy, rozgrzany od marzeń!
Pod biustami balkonów tkwią czarnogłędziarze.
Kapelusz z żółtej słomy, tylko cztery marki,
kryształy, biżuteria, śpiewna jak kanarki;
banknoty to motyle, tęcza, kwiaty z corsa...
Miasta Hanzy, jak damy w sznurowanych gorsach
spoglądają zmarszczkami kolumnad na gwałty. —
O świecie w szczerbach muru emoka mleczny Bałtyk.
Na wargach fal rozlano tłustą beczkę tranu —
ludzie z dawniejszych czasów chodzą jak ułomni,
żeglarz długiej podróży początków zapomni —
Witajcie niespokojne pleśni oceanu!

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

SYRENY

Białe statki wysiła chorągwiara przystań,
Iódka chowa się w żaglu jak w kopercie. Słaby
wiatr gwizdże i kołysze siwe dachy Wisła,
dymy wieją jak brudnej koszuli rękawy.

Kapitan na pomoście jest bratem Odysa:
kiedyś, dawno, do smukłych przywiązany wieczy,
żeglując po tych wodach, śpiew syren usłyszał
i żyje. Ale miasta cień na fali leży.

Śpiewaczki strychów naszych, metalowe gęby
mleczą, ledwie fabryczna zagada w południe.
Jakże odkryć, żeglarzu, tajemnicę głębin?
Te, co na dno wabiły, śpiewały obłudnie;

a siostra ich na brzegu, jeśli stygnie w pomnik,
jest półtrybą, żołnierzem, dziewczyną, i nie raz,
że ma sopran królewski, uwierzą potomni.
Cóż, kiedy ust kamiennych nigdy nie otwierają.

ANNA KAMIENSKA

PIERWSZA KULA

Kula
nim skrzydłem pożaru dach katedry zmiołła,
Krażyła długo nad miastem w poprzek sinego profilu.
Prąd rzeki odbity w wietrze zda się odpychał ją dalej.
Lecz szła naprzód, nad stadion objęty pierścieniem bieżni,
Nad gimnazjów dziedzińce, domy, które mijala ze wzgardą
Jak obcy pasażer rzucony ze stacji na bruk
Bierze dorózkę, nowemu miastu zagląda w twarz
I palcem dotyka pleców furmana, stopą odpycha pojazd,
Lecz następne nie patrzą, nie baczą następne pociski.
Odpada niebieski tynk, żółty tynk dym owija,
W rdzeniu nocy Stare Miasto, płonie gorący rubin.
Ludzie biegną jak karty wyrwane z Talmudu,
Których pełno nagle w rynsztokach i które ogień czyta
Skwapliwym okiem, zbija w szczerbate stopy
I suchym płucem w żarliwy pożaru dech chłonie.
Tak do dnia trwało, który i miejsca po wieżach napelnił.
Wystarczy dnia na wszystkie szczerby i luki.
I człowiek leży. Obok martwa natura:
Rozsypane z torby żołnierskiej jabłka przy trupie.
Trzeba pozierać tamte pierwsze śmiertelne sielanki
Zanim jako zer szereg w beztreść liczby się stoczą.

EWA FISZER

* * *

Złociste ryby płynęły dniem,
A nocą świat był otwarty na przestrzał.
Miękki cień leżał, łagodne barwy,
Kobiety się stapały z tłem
I odcinały się kontury mężczyzn.

Świat taki łatwy jak powietrze
Z południa w zachód prowadził mnie
Zrobionego na miarę ubrania.

Przeszukałem całe pole
I widziałem zielone żabki.
Przeszukałem całe miasto:
Zakurzone kwiaty sprzedawali

Rozbierajmy mur obrośnięty,
Który został z mojego domu.
Sypmy liśćmi wina w procesji:
Pierwszy tramwaj ruszył w moim mieście,
Dzwoni tramwaj czerwony.

MIECZYŚLAWA BUCZKÓWNA

WERSZ ELEGIJNY

Nie ujęte — nie żyć już więcej,
zmienić się w szepoty drobne
i wątle kruszyny światła.
Umarli są w martwym czasie,
a my mówimy — wieczność.
Tylko żywym zdawać się może,
że myśl — to myśl, a błękit — błękit
Wszystkie pojęcia o tamtym
to tylko wyraz lęku
przed ostatecznym odejściem.
Inaczej kwiat, bo o sobie nie wie,
i ptak składając skrzydła do śmierci
nie czyni tego boleśniej niż do snu,
a my zawsze w trwodze,
która siebie nie zna.
Jak nieoszczędni i dla siebie okrutni!
gdy swój czas oddajemy rzeczom,
świadkom obojętnym i niewdzięcznym
Ptaki jestennym odlotem
wzruszają nieczule powietrze,
drzewa nie wiecznie zimowe,
lecz nie jesteśmy jak one
zmianom uległe w milczeniu,
ani jak gwiazdy zapalone, co giną we
własnych cieniach.

JERZY MILLER

O POECIE

Nim sobie uzmysłowił
daremna pracę prządki
na plecankach osnowy
wiązać splecione wątki,

Przeminał wiek, jak gdyby
wąż wślizgnął się w podszycie,
lub jak oliwa tryby
namaszczająca skrycie.

ANNA POGONOWSKA

NOC

Noc nasiąka mgłami,
Bruk iskrami wydzwaniami
Rytm kopyt, a bramy
żółkną od zlewania.

Wilgoć płyt się lustrzy
Teśknotą kamieni,
Bar czerwienią głąsy
Krzyk nieba i ziemi.

* * *

Ten miesiąc warg znalazł już kształt,
Którym wyraził mnie —
Skurcz mały ust w materię wniósł
To — co najtrudniej wiem.

Nie zgodne co wyostrza kąt
Rysy ku nozdrzom wspięte —
Zdziera mi twarz, szybciej niż czas
On — drapieżca zawzięty.

STANISŁAW PIĘTAK

„W Ł A D Z A” *)

JEST RANEK bezchmurny, niebieski. Na placu pod Kółkiem masy narodu z końmi czekają na przyjazd władz. Ma być przegląd koni. Są ludzie z Białej Wsi, ale i z przysiółka półmierzowskiego i z Zieleniec. Gwar, śmiech, przygadywanie. Konie rżą, kasają się, trą się zadami o pioty. Dopiero dzisiaj uświadomiłem sobie, że Biała Wieś to nie wioseczka, to 400 numerów chałup. Tyle luda, tyle koni!...

Pod Kółkiem naprzeciw kancelarii stoi już stolik, który przyciągnięto tu ze Spółdzielni. Kręci się w pobliżu Sójka, dziś wyjątkowo trzeźwy, ale i tak wesoły i ryzykanci. Kręci się i połowy Franek Kutyla, który od niedawnego czasu ościwał zupełnie. Kutyla ma chodzić za kogutami, kaczkami i jajami na ucztę dla Komisji Objazdowej, bo tak mu sołtyśka kazała, więc nie wiele myśląc, zaczął swoją powinność.

— Górajka — ryknął — dawaj koguta. Dziś obiad dla komisji. Nie dosz, kara...
— A byśta pozdychał z tymi obiadami — rozdarła się na to Górajka, młoda jeszcze kobieta. — Wczoraj daj, dzisiaj daj. Ej, Franek, nie dom ci koguta, weź trochę kiełbasy.
— Dobra, dawaj.

Kutyla już odszedł na przeciwną stronę placu i znowu to samo: — Skrzypkowo, od ciebie kacka się należy. Sołtyśka mówi, że nie można ustąpić.

Wysoka Skrzypkowa z czarnymi jak smoła włosami, z małą głową, zaczęła skakać na podwórku, kłócić się, w końcu jednak dała kackę.

Przy innych bramkach nie obzyskał jednak Kutyla wiele. Jedni wymawiali się, że nie mają, inni zamykali drzwi mu przed nosem, lub wynosili po jednym jaju.

Zatrzymał się Kutyla i przed bramką Wojtka Aducha.
— Aduch, od was kura się należy! — krzyknął.

— Tyło ci się należy! — pokazał mu Aduch kciuk, wystukując z izby rozmianiany, z mokrą głową.
— Poszedł stąd, ty krzywo gębo, bo uważaj kijem. Kury dło was, a dło mnie co? Korzenie i powiętrzel!

Niezrażony Kutyla zawrócił i chodząc jednak od chałupy do chałupy. Nigdzie nie wylano mu gorącej wody na głowę, ale wszędzie mu tym grożono, 8-ma już dochodziła. Komisji wciąć nie było. Chłopi usiedli nad rowem i dalej w pogawrkę o polityce, o polceji, o kontyngentach...

— E, w tym roku końca nie będzie — powiedział jakiś suchy jak badył chłop z Zieleniec.
— Głupiś — zakrzyczano go. — Ameryka mo taką broń, że skończy Hitlera w dwa tygodnie.

— A co to będzie? Gazy? — zdziwił się chłop.
— Jo nie wiem, wiem tylko, że oni tam przygotowali się noleżycie. Byłem w Ameryce, to wiem.

Do spoglądającego po szosie Sójki zbliżył się w tej chwili mały Wojtek Niedziela z przysiółka półmierzowskiego, chłop z uciętym uchem, pyskacz jakich mało.
— Chodź, Felin, napijemy się po jednym. Wójt jesse nie wyszedł spod pierzyny.
— Nie wyszedł? — zaśmiał się na to Ludwik Brela. — Jo od taki baby jak jego, uciekałbym o północy. Sucho, jak patyk.

Chłopi zaraz ryknęli śmiechem.
— Zartujesz, a to przecie twój brat cioteczny — rzucił ten sam suchy chłopina z Zieleniec.

— A co, to dlatego ni mom się śmieć? — zawołał Brela. — Jo bym się śmiał i z archaniola, gdyby przyszedł.

Kolo Kutyla Jasia stała gromadka chłopów i oglądała ogiera, którego przyprowadził kolonista, Antek Pała. Ciemnogławy ogier kręcił się, gryzł wędzidła i skakał.

Brela i tu się znalazł ze swoim wąsem sterzącym, jak kły.
— Antek, puściłbyś konia na kobyły! — ryknął. — Jakby ustoił toby się zachowywał spokojni.

— E, wracajcie, Antoni — powiedział stary Jan Chmura, który chorował na śpiączkę i drzemał zawsze przy płocie. — Zmaruże się wom ogier, gdy będziecie tak stoć z nim do południa.

Pała usłuchał i wyprowadził konia na szosę w kierunku kościoła. Akacje obsypane były kurzem, ale i tak zieleniły się jeszcze barwą świeżą i rzucały cień. Zakrzyżł naraz nad zbiorowiskiem koni bocian i pofikawszy łapami odrzucił na kościelną lipę, na której miał gniazdo. „Ten pejaż to się chyba nie zmienił od kilkudziesięciu lat — pomyślałem — akacje cieniują drogę, w dali kościół, w dali za Wisłą wzgórze wisłobrzęskie. Tyle, że znikają coraz więcej chaty kryte strzechą i wyrastają na ich miejscu domy murowane. Tyle, że rozlewiska, które znajdowały się po prawej stronie drogi, wyschły i różnie na ich śladach chmara kwiatów i drzewek”.

Rozmyślenia moje przerwał naraz krzyk. — Z drogi, z drogi, róbcie miejsce!

To wołał Sójka czerwoną już teraz jak płomień i biegł kolo auta. Auto stręciło na plac i stanęło na samym środku. Wskoczył z niego zaraz podoficer niemiecki, stary, szpakowaty mężczyzna i podał rękę wysokiemu, ze sztuczną nogą, może osiemdziesięcioletniemu pułkownikowi.

Pułkownik był to okaz prusaka. Rysy ostre, oczy prawie szkliste, ruchy mimo starości żołnierskie.

Niemcy wydobywali akty, tymczasem na bryczkach zajężdżała polska władza. Na jednej siedział jednooki, popyny dziś jak noc

Miazga ze swoim sekretarzem, chudym, zblazowanym człowieczkiem, na drugim Pazur, wójt z gminy Topolów, w towarzystwie swoich urzędników i dwóch żandarmów.

Miazga skoczył i z przesadnie ugrzecznioną miną przywitał się z pułkownikiem. Zaraz jednak pokazał swoją hardą twarz i począł wymyślać komu się tylko dało.

Pazur zachował się zupełnie inaczej. Nabrał gdzieś wyszukanych manier, z pułkownikiem przywitał się spokojnie, przesłał na wszystkie strony ukłony i zaraz usiadł za stołem.

Przegląd zaczął się od klasyfikacji koni z Zieleniec. Każdy chłop brał za uzdę konia i musiał pośpiesznie przeprowadzać go przed komisją. Gdy się coś nie spodobało jednemu pułkownikowi, trzeba było w galopie przelatywać tam i z powrotem i ciągnąć wierzchowca za sobą.

Nie jeden koń robił pod siebie — z placu niosła się ostra woń nawozu. Na bok odstawiano konie, które miały pójść na rzeź. Wszyscy bali się takiego zaklasyfikowania swojej własności, to też każdy zaopatrzony w ostry pret lub powróż bił konia po piętach, byle wywołać na jego pysku jak najgroźniejszą minę.

Nie udawało się to zawsze. Oto Wicek Siudoga, siwy już jak gołabek, przyprowadził swego konia chudego jak śmierć, o nieokręślonej maści, niby burej, niby żółtej i stanął. Żandarmi zmuszali konia do biegu, koń bił, rad nie rad skoczył. Wicek jednak nie padał, lecieć, upadł jak długi na ziemię i tak został.

Ani mu to nie pomogło. Konia i tak odstawiono na bok, by powiększył gromadkę przeznaczoną na rzeź.

Triumfowali tylko bogaci chłopci, co mieli konie zażywno, wielkie — Wojtek Niedziela, Ludwik Brela, młynarz z Zieleniec, no i przede wszystkim kolonista Pała.

Pała, rad, że pułkownik ucałował jego ogiera w mordę, chichotał, kłaniał się w pas i cały czas chwalił się, że on ma już dwie pochwały za dobry chów bydła — że u niego jest wzorowe gospodarstwo.

Nie cował się — wybelkotał Franek Fartyka. — Gdybyś ty miał, jak ja, móg ziem, to i twój koń nie byłby lepszy, jak mój. Jo i moje dzieci mleka nie widziły, a ty kważne mleko i serwatkę dajes koniom.

— A poza tym, czy cię nie premiuje? Nie chwol się tak, nie chwol, przyjdzie jesse inny cas.

Nim przyjdzie, to ty zgnieś w ziemi — syknął Pała, chłop czarny, brudny, z oczami żółtymi jak u sowy.

— Cicho, cicho, Spokój! — krzyczał Sójka i dawał znaki, by zamilkli, bo żandarmi nadśledzują.

Przegląd już się skończył, pozostało jeszcze rozpatrzenie ponowne koni przeznaczonych na rzeź. Plac już był pusty, wszędzie tylko leżało mnóstwo kupek nawozu; rozlewały się kałuże moczu, ścielilo się niezjedzone siano.

Może już była 11. Pułkownik wciął jeszcze stał, jakby chciał udowodnić, jaka to siła mieścił się w starym oficerze niemieckim — podoficerzy wypisywali ostatnie wykazy. Miazga ziewał i patrzył z pogardą na biednych chłopów skamiących o wstawienictwo. Ludzi było już niewiele. Trochę gapiów stało tylko na szosie, trochę dzieci. Gęsi chodziły między akacjami i zbierały ziarnka owsa.

Pierwszy stanął z powrotem przed komisją Wicek Siudoga. Tym razem nie on jednak mówił, mówiła jego baba, kościśta, o wielkiej, żółtej twarzy kobieta. Wicek ocierał lzy rękawem, a ona wyprostowana jak struna krzychała tak, że aż pod kościółem było ją słychać.

— Panie generale, to koń jeszcze do roboty. Patrzcie, jakie oko u niego wesołe, a ja

ki chód! Co, że biedrę mo odbitą, biedrą nie będzie jodł.

— Weg! — mruknął tylko pułkownik, który mimo starości zorientował się, że go tytułują generałem.

— Co, co pon mówią?

— Odejdźcie, Siudyzko, ni można — chrząknął Sójka.

— Ni można? Aby was pieron trzaś, komu chęta, to wy uratujeta kunia.

Nie uspokoiła się, jeszcze ze szosy pomstowała. Żandarmi poszli gdzieś szukać szczęścia na ogrodach, więc uszło jej to na sucho.

Nie powiodło się i Patryce. Przyprowadził swoją klaczkę młodą, ale schorowaną, z obwisłym tłem, i nic nie mówiąc stanął przed stołem.

— Weg! — rzucił znów pułkownik, ślepią mu się już zamykały, ale wciąż stał.

— Hej, co będę klaczki żalował — odezwał się Patryka do chłopów — a może jej nie oddom. Jeśli oni już takich, jak ten nieboszyk mobilizują, to w dać, że z nimi ne nolepiej. Miesiąć jeszcze, dwa — i pęknie ta ich siła.

Wreszcie ostatni koń przedelflował przed komisją. Sójka się wtedy poruszył i zaczął łamaną niemiecką prosić na obiad.

— Ano, czym chata bogata, tym rada — przemówił Pazur, który jakby się ocknął. Podniósł się i spoglądając uradowanymi, zadowolonymi oczyma wokolo szedł w kierunku swojej bryczki.

Statem pod płotem Makuli cały czas patrząc na to, co się działo. Auto z pułkownikiem już pomknęło, ruszyła już i bryczka z Pazurem. To tylko Miazga jeszcze wciął kręcił się po placu i kłął, nie mogąc odzyskać swego woźnicy.

Wreszcie go znalazł śpiącego w najlepsze pod akacją. Szedł już Miazga do wozu, ale zobaczywszy mnie, zatrzymał się.

— Niech pan siada. Co, pan nie chce się napić wódki? Do cholery, a kto dawał kury! Chodź pan, co się pan krepuje.

Zbliżył się i siłą wepchnął mnie na wóz.
— Panie — zaczął od razu ostrym głosem — mam tu do pana pewną sprawę, bo wiem, że pan jest z tych uczonych tutejszych jedyny rozgarnięty człowiek.

Nadstawiłem ucha.
— Kto to jest ten Gilba, co z panem chodzi?

— Student, przecie pan wie.
— Nie o to pytam Ludowice, narodowice, komunista?

— Tego nie wiem.
— Może pan bujać kogo innego.
— Nie wiem o co chodzi.
— Wczoraj przychodzi do mnie i żąda 10 tysięcy na organizację. Bezczełność, jak Boga kocham.

— No i pan dał?
— Nie — zaśmiał się. — Pozwoliłem tylko, że kasę gminną okradli.

Jechaliśmy chwilę w milczeniu. Miazga odwrócił się naraz i uściśnął mnie mocno za ramię.

— Lubię pana, już nie wiem za co, panu to tylko mówię.
— Bóg zapłać za zaufanie.
— Boga pan może nie wspominać, nie obchodzi mnie. Mnie interesuje tylko, czy ten Gilba ma rzeczywiście kontakty, czy tak dla siebie robi?

Podniosłem się.
— Choćbym chciał panu odpowiedzieć, to nie mogę, bo nie wiem — odparłem.

Zajechaliśmy już przed dom Sójki. Wypadła zaraz ku nam gospodyni, tusta, biała, młoda jeszcze kobieta i zaczęła zapraszać do pokoju.

— A i ty, Jasiu, chodź, miejsce się znajdzie — wołała — obiad dobry, ale nie najlepszy, bo ta krzywo gęba, Franek, przyszedł za późno z kackami.

Za stołem siedział już pułkownik, siedzieli i żandarmi i podoficerzy, Niemcy. Chłopi natomiast jeszcze stali. Widać było wśród nich chuderlawego Wojtka Niedziela, Pazura, młynarza z Zieleniec, Piotra Sójkę, którego sołtyś na popiochę zaprosił po dobroci braterskiej, wreszcie i Stefka Gilbę.

Kto Gilbę zaprosił? Trudno to przewidzieć. Chyba jednak Sójka, który miał jak lis swoje nieznanne, tajemnicze chody.

Obiad upływał w ponurym nastroju. Miazga widząc Gilbę, krzywił usta, odpychał mięso z talerzem, sarkał, że wódka nie dobra. Żandarmi chlali już nie zważając na pułkownika, który zresztą drzemał na dobre. To tylko Pazur usiłował zachować formy towarzyskie i starał się rozmawiać z podoficerami o nowoczesnym sposobie chowania koni.

Nie udało mu się ta rozmowa, bo podremujący pułkownik podniósł się naraz i sztywno, nie żegnając się, szedł ku wyjściu. Podoficerowie od razu, jak gromadka wyźłów, rzucili się za nim. Myśleliśmy, że on gdzie za potrzebą, tymczasem okazało się, że on naprawdę wyszedł. Wsiadł do auta ze swoimi nieodłącznymi podoficerami i odrzucił go prosto jak ptaszek.

Dopiero teraz przyjęcie rozkręciło się. W środku przy stole zasiadła sołtyśka — pod piecem miody harmonista, którego przyciągnął tu przed chwilą, połowy Kutyla ze wsi zaczął brząkać na akordeonie.

— Graj, graj „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wy to przecie chciały tylko słuchać — zawołał jeden z żandarmów, tusty, o złośliwym uśmiechu, folksdojcz ze Śląska.

— E, co tyż pon godo. O, jidz pon lepi kure — zamruczała sołtyśka.

Harmonista grał oberka i potykał ślinę. Tymczasem wcisnął się do pokoju suchy chłopina z końca wsi i kiwnął na sołtyśkę, widocznie przyszedł z jakąś ważną sprawą.

— Ty kto? — ryknął naraz drugi żandarm, młody mężczyzna, o okrutnych, bładych, niebieskich oczach. Przyskoczył do chłopca i uderzył go z całej siły w twarz.

— Wstać — zawołał jeszcze ostrzej. Chłopina ledwie pozbił kości i podniósł się.
— Powiedz, co jest dzisiaj, środa, czy czwartek?

— Czwartek, panie komendancie — wyszeptał chłop i w tej samej chwili otrzymał uderzenie jeszcze mocniejsze pięścią w szcękę.

— Środa, draniu, środa!
Byłby jeszcze raz uderzył, ale oto skoczył ku niemu śmiejąc się, Stefek Gilba i chwycił go za rękę. Sołtyśka zbladła jak trup. Sołtyś, zapychający się pomidorami i cebulą, też csiupał. Jedynie Miazga patrzył rozciekawiony, cieszył się przebiegiem zajścia.

— Weg! Weg! — ryknął żandarm szarpnawszy się, wydarł się z rąk Gilbie. — Napad? Zastrzelił jak psa? Józef! — krzyknął na kolegę — aresztować!

Chciał sięgnąć po broń, ale w tej chwili błyskawicznym ruchem porwał mu ją Stefan i odskoczył o dwa kroki.

— Henryk, ty do mnie chcesz strzelać? Wczoraj jeszcze razem piliśmy w Topolowie. Do Hani cię zaprowadziłem.

Sołtyśka była już przy żandarmie, był i sołtyś, był Pazur i drugi żandarm. Rozbrojony pienieł się jeszcze, ale otrzymawszy broń z powrotem, dał się prześlagać i usiadł znowu za stołem.

— No, to jo ci to daruję, ale panny muszą być — mruknął. — Panny i wódka. Pić, pić i hulać!

— Będą — odpowiedział Gilba. Siedział już też za stołem, szcęką mu jednak wciąż drgała.

— Gienek — zawołał w stronę harmonisty — idź, poprosz siostrę moją i Zosię, tę z wysiedlonych — przecie wiesz...

Harmonista zaraz skoczył.
Nastroj poczynił być nerwowy. Opuszcili pokój Pazur i Piotr Sójka, inni pili mało, kręcili się na krzesłach niespokojnie.

Dziewczęta przyszły dopiero po godzinie. Miazga wtedy kiwnął na mnie, bym wyszedł z nim na dwór. Poszedłem.

— Wal pan do domu. Tu może być dzisiaj jatka — zawołał.

W tej chwili wyskoczył z sieni w koszulce Stefan i zaczął mnie szarpać za ramię.
— Chodź, Jasiu, nie możesz teraz odchodzić, pytają się żandarmi o ciebie.

— Pytają się, bo pan piwa nawarzył — rzekł Miazga.
— Co to pana obchodzi?
— Mnie? — rzucił się Miazga. — Ja po przyjaźni dla pana Kunefata.

— Nie cenę on sobie tej przyjaźni. Ofiaruj ją pan komu innemu, o Niemcom, którym leziesz w tytek.

— Milcz!

— To ty milcz — mruknął Stefan. — Gdy zechce, ciebie dzisiaj rozwał i twoją ochronę.

Miazga zachwiał się, splunął i naraz skoczył ku bryczce. — Sylwester, jedziemy, jedziemy! — krzyknął wielkim głosem.

— Po co to wszystko robisz, narażasz siebie — szepnąłem, gdy Miazga już znikł za wrotami.
— Mam w tym swój interes.

Rzeczywiście miał jakiś interes. Odprowadził żandarmów z sołtysem. Po drodze napadł ich ktoś i pobił. Przy tej sposobności zaś wziął Niemcom broń i rowery.

Nie wydawało mi się bezpiecznie mieszkać nazajutrz we wsi, zabrałem swoje manatki i powędrowałem do Ułanowa. Piśzę właśnie te słowa u moich krewnych w stodole na sianie.

*) Fragment z III t. „Jasia Kunefata” pt. „Nagi grom”.

ILJIN M.

JAK SAMOCHOD UCZYŁ SIĘ CHODZIC

Thum. Galbińska St.

STRON 21

Zł 50

MANUGIEWICZ R.

WIELKI SZTORM

STRON 236

Zł 450

JANUSZ BOGUĆ

W perspektywie pewnego doświadczenia

(Uwagi o muzealnych wystawach objazdowych)

W OBSZERNYCH i licznych dyskusjach nad sprawą upowszechnienia kultury mówiło się kilkakrotnie o programie czytelnictwa, o teatrach świetlicowych, o działalności uniwersytetów robotniczych i ludowych — pomijając na ogół zjawisko niezwykle ważne w tym kręgu zagadnień jakim jest wystawa muzealna. Rola muzeów wydaje się być w pewnej mierze niedoceniona wśród toczących się obecnie rozważań i planowań zmierzających do ukształtowania zasad i metod naszej polityki społeczno-kulturalnej.

Ten stan rzeczy usprawiedliwia częściowo pewna tradycyjna aura, która w powszechnych wyobrażeniach obleka jeszcze pojęcie muzeum, utrudniając wiele żywy i realny stosunek do samego zjawiska. Mamy tu na myśli mgiełkę sentymentalnego pamiątkarstwa, która osnuła się wokół przestarzałej formy muzealnego panopticonu, gdzie bez myśli i planu skrzętny zbieracz gromadził z równym poświęceniem skarby, rupiecie i osobliwości. Ten typ muzeum zanika już coraz wyraźniej, a współczesna nauka i społeczność muzeologia dawno porzuciła błędne ścieżki s'arostwieckiego zbieractwa. Ta przemiana, będąc sama w sobie zjawiskiem niezwykle ciekawym zasługuje na osobne obszerniejsze omówienie. Tutaj wypada zwrócić na nią uwagę, niedocenianie jej bowiem zdaje się być przyczyną przemilczeń, które dotknęły muzealnictwo w publikowanych ostatnio dyskusjach o upowszechnieniu kultury. Tymczasem w kręgu fachowców dojrzejają nie tylko myśli, lecz i uczynki, mające już konkretny sens społeczny i oświatowy. O tych rzeczach wypadałoby pomówić i pomyśleć także i po za kołem zawodowych znawców, poczynione bowiem próby są już realną wartością, z której rozwijać się będzie szersza społeczna rola muzealnictwa. Odkładając do innej sposobności zasadnicze rozważanie tej sprawy pragniemy tu zwrócić uwagę na jedno z bardziej interesujących doświadczeń społecznych przeprowadzonych tego lata przez warszawskie Muzeum Narodowe.

Spakowano i wsadzono do auta matejkowskie „Dzieje cywilizacji”, po czym w towarzyszywie specjalnej ekipy pracowników Muzeum ruszyły one „upowszechnić się” po osiedlach i miasteczkach wojew. łódzkiego. Trasa biegła przez Łowicz, Tomaszów Mazowiecki, Sulejów, Piotrków, Bełchatów — do Częstochowy.

Technicznie rzecz ułożono w ten sposób, że po przybyciu do każdej miejscowości pierwszy dzień zajmowało rozlepienie afiszów i instalacja Matejki w sali teatru amatorskiego, czy straży ogniowej, nazajutrz zaś odbywało się z udziałem władz miejscowych o'warcie wystawy, która po 2—3 dniach zwijano, by ruszyć w dalszą drogę. Jakkolwiek rozkład jazdy i odwiedzin w poszczególnych miejscach były od początku przewidziane i zapowiedziane, nie obeszło się bez różnych drobnych niespodzianek, które w sumie stanowią przyzwoity cenny dla udoskonalenia technicznej organizacji następnych wypraw tego rodzaju. Tu wszakże interesuje nas przede wszystkim samo przyjęcie jakiegoś Matejki doznał w swej podróży. Chodzi przede wszystkim o to jak ukształtował się sam „akt odbiorczy” o próbę konsumenta, o te wskazania, które widz wiejski i małopolski dawał, które widać w katalogach muzealnych objazdów i wszelakim obmyśleniu polityki kulturalnej. O'óż reakcja była serdeczna i mocna. Była mądra i bezpośrednia, ta bezpośredniość, która daje tylko szczerą i nienasycony głód treści kulturalnych i wrażliwość ludzką, wolną od skomplikowanych wątpliwości jakich używa znużonym dziedziczy nadmiar doświadczenia i wiedzy o sobie. Jest rzeczą znaną, że reakcje zwiedzających wystawę dzieliły ich w sensie społeczno - klasowym na większość zgłodniałych i szczerych oraz nielicznych podkarmionych i grymasnych.

Ci drudzy to przypadkowy element miasteczkowy - półinteligentki, jakas dama-letniczka opowiadająca o albumach z reprodukcjami, które jej spłonyły w Warszawie, jakis zawiędziony w ambicjach luminiarz miejscowy rozłączający przy okazji żalosne wdzięki niedouczzonego umysłu. Przywiedły wianuszek figur smętnych i zabawnych, pragnących na marginesie zdarzenia zablysnąć okrucznością owej lichej, pół-wiedzy, gdzieś kiedyś zasłyszanej, a marniejącej wraz z nimi w ciasnym widnokręgu prowincjonalnej miejsciny. Tragedia umysłów podrosłych, lecz nie-dojrzałych — chorobliwy wy'wór powolności i niepełności społecznych przemian.

Nieliczne półinteligentki wyjątki stwarzają ten nikły dysonans, k'órego śmieszność tym mocniej pozwala odczuwać zdrową, pierwotną reakcję — innych znikniętych i chłonących.

Ciekawość, radosne podniecenie pobudzała już sama forma zjawiska: urządzanie wystawy, przeobrażenie, jakiemu uległa dobrze znana sala świetlicy czy teatryku obrządek otwarcia, oprowadzanie, katalogi. Ludzie, którzy malarstwo znali na ogół tylko jako „święty obrazek” czy „widoczek” z mieszkania, jako ilustrację lub część wnętrza kościelnego — częstokroć po raz pierwszy zetknęli się z obrazem — dziełem sztuki podniesionym ceremonią wystawową do jakiejś osobliwej, odrębnej godności.

Ciekawiono się naturalnie przede wszystkim treścią. I można sądzić, że trafnym był



Jan Matejko

Pierwsza elekcja

wybor Matejki na to pierwsze próbné spotkanie. Dzieje narodu i ich bohaterowie są wartościami tak powszechnie i naturalnie wrosniętymi w wyobraźnię przeciętnego człowieka — że słuszną rzeczą było w nich właśnie szukać nawiązania ze światem zjawisk malarzkich. Dzieje te w wyobrażeniach ludzi prostych ulegają pewnej naturalnej mitologizacji, a właśnie Matejko jak nikt inny miał skłonność do teatralnego mitologizowania wątków historycznych. Wystarczy porównać jego dramatycznie - hocha'erskie płótna z pokrewnymi ilościowo pracami Brandta, czy Gersona, by uzmysłwić sobie jak odrębnym był świat jego epickiej wizji od naturalizmu tamtych arystów. „Dzieje Cywilizacji” to szereg odsłon narodowego dramatu, klebiący się od bohaterów przeszłości, pełen postaci wspaniałych i heroicznych. Trudno byłoby znaleźć u nas zespół dzieł sztuki bardziej pobudzający wrażliwość ludzi nieuczonych w malarstwie.

I jeszcze jedna zaleta wyboru „Dziejów Cywilizacji”, już nie treściowa, a właśnie malarzka: cykl ten, to cykl szkiców malowanych gorączkowym, niespokojnym uderzeniem pędzla, iskryczących się soczystą, błyskotliwą fakturą — jakże odmienny dzięki temu od młoternie wykończonych wielkich płócien mistrza krakowskiego. Dalekim będąc od prymitywnego poglądu, że w ogóle „wylizany” Matejko gorszy jest od „postrzępionego”, jako bliższego malarstwu dzisiejszemu — trzeba stwierdzić, że w tym wypadku fakt ten okazał się może pożyteczny. Łatwiej bowiem dostrzec i ukazać w szkicu samą robotę malarzka, której istnienie widz powinien stopniowo zauważyć i ocenić. Jeśli zaś w którejś z przysyłanych wystaw pokazane zostaną np. obrazy impresjonistyczne, to łatwiej będzie mógł ich sens ocenić ten, kto poznał Matejki, od tego kto nawykł tylko do oglądania jego dzieł skończonych.

Pozostawiając zresztą tę kwestię do dyskusji trzeba powiedzieć, że „Dzieje Cywilizacji” dobrze odrobiły swą cywilizacyjną robotę. „Upowszechniły się” wśród żarliwego skupienia zwiedzających, wśród zapалу dzieciarui i wzruszenia starszych, chciwych zapytań, serdecznego rozciekawienia. Katalogi rozchwytywano, zapewniając, że to do czytania na wieczory zimowe, kiedy roboty mniej i dobrze wspólnie posiedzieć nad książką. Dopytywano kiedy nowa wystawa przyjdzie. Zdarzały się też i wypadki specjalnego zainteresowania. Do jednej z osób z personelu wystawowego zgłosiła się np. pewna panienska. Jest sprzedająca w sklepiku, a w wolnych chwilach maluje obrazki. To jej największa radość. Chciałaby koniecznie zostać malarzką. Przyniosła swoje prace rysowane kredką na papierze sceny rodzajowe. Ujęcie trochę dekoracyjne, prymitywne, świeże, ciekawie uproszczone. Co zrobić, żeby zostać artystką, gdzie się tego

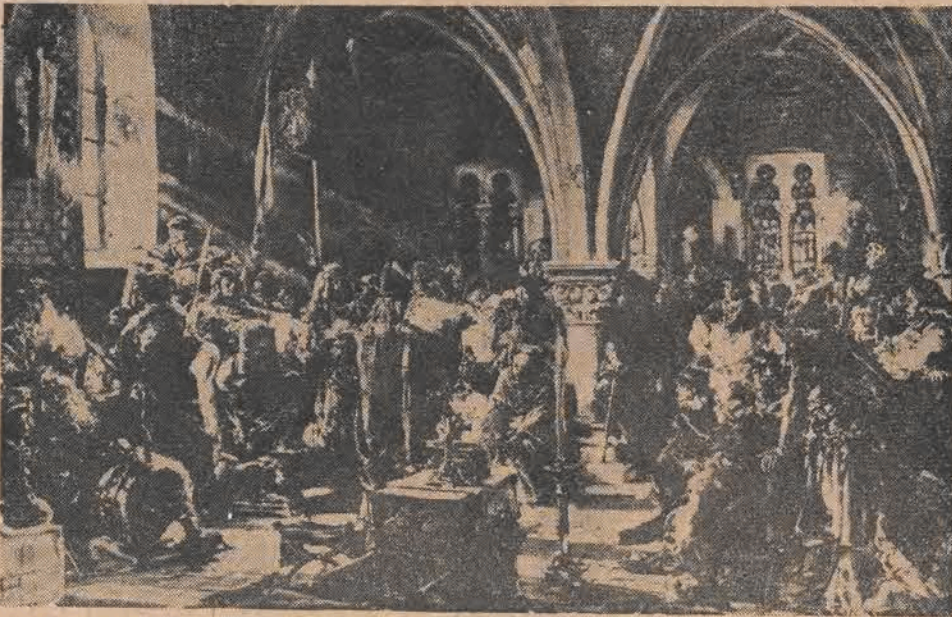
można nauczyć? Prosiła o adres i warunki przyjęcia do szkoły artystycznej. Przyrzeczono jej przysłać listem. Nim zespół muzealny zwinął wystawę i opuścił osiedle, trzy razy przybiegała upewnić się czy jej prośba nie będzie zapomniana, czy nie zlekceważą jej, czy naprawdę napiszą.

Tyle wrażeń i wspomnień, a wnioski? Pierwszy pozytywny wniosek zamyka się w wyżej wyrażonej pochwalie wyboru matejkowskich szkiców na tę wstępną wyprawę społeczną - muzealną. Matejko zrobił pierwszy krok i zrobił go dobrze. Cóż jednak dalej?

Rola wyprawy matejkowskiej polegała na wprowadzeniu widza w krąg zjawisk malarzkich łatwo strawnych dzięki popularności ich współczynnika treściowego. To wstępne osiągnięcie uzyska jednak pełną wartość, jeśli następne pokazy przez umiejętny dobór i celowość zestawień różnych gatunków obrazu nauczą widza oceniać jakoś artystycznego wykonania, nauczą go odróżniać dobre malarstwo od złego. Program wystaw objazdowych obejmujący okres paroletni musi więc być obmyślony do pewnego stopnia jak pogłębiona lekcja wiedzy o sztuce. Poczynając od bezpośredniego poznajomienia z poszczególnymi zjawiskami przechodzić musi stopniowo do ich porządkowania przez nasilenie roli komentarza objaśniającego i wartościującego. Nasilenie to winno być niezmiernie ostrożne i powściągliwe i postępować w miarę jak postępuje bezpośrednie życie oglądającego z przedmiotem.

Trzeba też pamiętać, że umysły świeże i nieprzygotowane chłoną mocno i rzetelnie, że ich akt odbiorczy jest sumienny, pełen przejścia i trwać musi wielokrotnie dłużej niż analogiczne zjawisko u ludzi kulturalnie nasyconych i wytrenowanych. Wchłonięcie bowiem przez psychikę nowego zjawiska trwa tym dłużej, im więcej zawiera ono elementów znanych. Stąd dwa podstawowe wskazania: 1) wystrzegać się nadmiaru i różnorodności treści podawanych i trzymając się konsekwentnie jakiejś planowej „diety”, 2) zacząć od wprowadzania dzieł „klasyków” jako czytelniejszych dzięki temu, że zawierają więcej elementów znanych.

Odrębnego przemyslenia wymaga sprawa kiedy i jak należałoby pokazać malarstwo współczesne. W związku z tym, warto wziąć pod uwagę, że malarstwo to łatwiejsze jest do przyjęcia w regionach, gdzie żyje jeszcze tradycja sztuki ludowej, a kościoły i kaplice przydrożne obfitują w rzeźbę i obrazy średnio-wiecznych lub gotycko-barokowych warsztatów prowincjonalnych. Okolice natomiast, gdzie dłuższy czas trwa już infiltracja zaprawionych sentymentalnym naturalizmem gustów drobnomieszczanskich — na pewno z większym oporem odnosić się będą do współczesnych form „awangardowych” w malarstwie.



Jan Matejko

„Pierwszy sejm w Łęczycy 1182 r.”

Oto kilka uwag na marginesie społecznych praktyk matejkowskich. Rzecz wszakże wymaga dokładniejszej rozważki i przemyslenia, by dalsze dzieje wędrujących wystaw z trafnej improwizacji przekształciły się w regularną i planową działalność. Do następnego lata dość jest czasu, by muzeologowie i oświatowcy zdołali przedyskutować i ustalić dokładny program przynajmniej pierwszej fazy tej działalności. Należy ufać, że zarówno na konieczne prace przygotowawcze, jak i na szerszą realizację wystaw objazdowych w roku przyszłym nie poskąpi w porę niezbędnej gotówki Ministerstwo Kultury i Sztuki, które na odcinku muzealnictwa od dawna już ujawnia stale wzrastającą żywotność i ruchliwość.

Podając to pobieżne omówienie sprawy wystaw objazdowych godzi się podkreślić jej sens istotniejszy; dobra tj. planowa i szeroka akcja w tej dziedzinie powoduje bezpośrednio rozszerzanie kręgu odbiorców kultury, którego skostnienie stanowi dziś śmiertelne niebezpieczeństwo dla zachowania i rozwoju wszelkiej sztuki i myśli.

Groźna dysproporcja, która istnieje między wytwórczością i dostawą dóbr kulturalnych, a znikniętym tych dóbr najszerszym kręgiem społecznym jest obecnie podstawowym zagadnieniem, które kierownictwo państwowej polityki kulturalnej winno rozwiązać szybko i konkretnie. Dalsze trwanie tego stanu rzeczy musi spowodować z jednej strony poważną degenerację dyspozycji kulturalnych społeczeństwa skazanego na wyjątkowe obcowanie z tandetą artystyczną, z drugiej strony narcyzowały władz spowitej sennym elitaryzmem twórczości współczesnej. Zostania jeno na straconym szacu publicystyka w szacie rozdartej nad obrazem kleśki oraz usychające za stosami akt urzędu od kultury. Jeśli miłobowe to widzenie stanie się kiedyś prawdą — niechże publicystyka nie miota wówczas gromów na garstkę elitarnych twórców, która dożyje tych dni. Nie w nich jest wina największa. Z wielu wypowiedzi powojennych wiemy, że twórcy współcześni zdają sobie sprawę ze swego zapóźnienia historycznego, rozumieją, że bieg wypadków społeczno-dziejowych wyprowadził ich raptownym nateżeniem swego rozwoju. Twórcy mają rzetelną świadomość tego faktu i wolę, aby odpłacić rzeczywistości, która ich dziś wyprzedza. Aby mogli tego dokazać trzeba nie tylko kilku lat cierpliwości, lecz również takiego przekształcenia społecznej świadomości kulturalnej, które wyzwoliłoby artystę z koła znawców zacieniającego troskliwie jego horyzonty ludzki i społeczny.

Praca twórcza, kształtowanie się dzieła sztuki jest bowiem bezpośrednio uwarunkowane dyspozycjami grupy społecznej, wśród której tkwi człowiek tworzący. Działanie jego jest wymiarną z widzem, lub czytelnikiem treści współczesnych dla danej grupy. Gdy grupa ta przekształca się lub rozszerza — życie jej wzbogacone zostaje nowymi treściami, które wkraczając w świadomość artysty, zasila ją i przeobrażają jego twórczość. Bez rozszerzenia społecznego kręgu kultury, bez rozbudzenia świadomości kulturalnej szerokiej rzeszy nowych odbiorców, nie będzie nowej sztuki, choćby wszyscy artyści stawali na głowie, żeby taką sztukę zrobić. Można przy tym jedynie wywyciszyć w sprawności stawania na głowie, w czym nie jeden się już dziś zaprawia, ale wynikiem z tego najwyżej lepszy lub gorszy cyrk, nie zaś malarstwo, literatura czy muzyka.

Niech się więc społeczeństwo nie żali, że nie ma zrozumiałej dla siebie sztuki współczesnej. Społeczeństwo ma zawsze taką sztukę, jaką chce mieć. A jeśli jej nie ma, to znaczy, że społeczeństwo nie umie chcieć. Tak też jest: elita ma dziś tyle, ile potrafi elitarnie wysmakować, a reszta nie ma, bo jeszcze nie umie chcieć. Zeby chcieć trzeba wiedzieć czego można chcieć. Nie będzie umiał wybrać sobie butów, kto od urodzenia chodzi bosy. Był wędrowny kramarz wlepił mu fałszowaną tandetę. Nowy krąg odbiorców kultury musi tę kulturę poznać. Wtedy dopiero będzie umiał w niej wybierać, będzie umiał chcieć tego co mu najbardziej potrzeba. Wtedy zdoła pobudzić do życia taką twórczość i takich artystów, którzy potrafią wyrazić jego pragnienia i jego wolę. Wola ta zacznie działać wtedy, gdy przydana jej zostanie świadomość.

Rozbudzenie zaś świadomości to praktyczna wspólna robota pracowników kultury i klasyków twórczości. Przesłanie literatury i sztuk plastycznych zależy przede wszystkim od sprawnego i szybkiego upowszechnienia czytelnictwa dobrej dawnej książki i dostępu do dobrej sztuki muzealnej. Zależy od rzetelnego opracowania programu i techniki wykonawczej; prac nad upowszechnieniem tych wartości. Zależy wreszcie od ludzi i od pieniędzy.

Aby nie zamykać tych rozważań akordami retorycznymi, stwierdzmy na zakończenie: dla rozpoczęcia powszechnej akcji wystaw objazdowych w r. 1948 są już ludzie, są zespoły dzieł sztuki, są pierwsze cenne doświadczenia społeczne i techniczne. Potrzeba natomiast: przeprowadzenia prac przygotowawczych w okresie zimowym oraz środków komunikacyjnych i sprzętu technicznego niezbędnego do przewozu muzealiów. Innymi słowy, potrzeba pieniędzy w odpowiednim dziale i paragrafie budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Los tego budżetu będzie niebawem przesadzony. Przekonamy się wówczas jak na odcinku wystaw objazdowych wytrzymują próby życia piękne i mądre postulaty Manifestu Lipcowego.

Janusz Boguć

FERDYNAND GOETEL

„Do czego nadają się Polacy“

Wybrane i zamieszczone poniżej przez nas charakterystyczne wypowiedzi czołowego w polskim świecie pisarskim przed wojną zwolennika związków Polscy z systemami państw „totalnych” — Ferdynanda Goetla, pochodzą z cyklu jego artykułów drukowanych latem 1938 w tygodniku literackim „Pion” i weszły w skład oświatowej jego książki „Polacy i faszizm”. Dziś po doświadczeniach, które w pamięci narodu polskiego nie zetrą się przedko, lecz o których już teraz chętnie chcieliby pamiętać nie tylko niektórzy przedstawiciele międzynarodowego imperializmu, ale także niektórzy Polacy, przebywający poza krajem i drukujący nowe napisy myślowe piewcy polskiego faszyzmu, nie zawadzi przypomnieć czytelnikowi polskiemu tych jego sformułowań, których ślepotę i cynizm ujawniła w całej pełni historia.

KTO OBSERWUJE życie publiczne w Polsce w ostatnich czasach łatwo dojdzie do wniosku, że najbardziej niepopularną ideą społeczno-polityczną w narodzie polskim jest faszizm.

Nie ma dnia, który by nie przyniósł jakichś aktów uroczystego potępienia faszyzmu, jakichś oświadczeń, artykułów i rezolucji, przeciwko totalizmowi.

Od frontu „Morges” z Ignacym Paderewskim na czele, poprzez akcję katolicką N. D. OZN, PPS aż do komunistów rozbrzmiewa jeden wspólny głos: w Polsce nie ma miejsca na totalizm.

Wspaniałą jedynością Polaków wspiera również solidarny w tym wypadku niezwykły bojujący front żydowski. Gdy do tego faszizm nie jest w Polsce zupełnie notowany jako partia polityczna, gdy nie ma nawet przysłowiowej „grupy zapaleńców”, która by go chciała uznać za swój; gdy nie przyznaje się do niego żaden człowiek o jakim takim ciężarze politycznym; gdy nawet najzapaleńsza młodzież głosząca Polskę Chrobrego, nie może wykrztusić z siebie faszystowskiego wyznania wiary; gdy kandydaci na dyktatorów zmieniają się na mistyków, literatów i filozofów; gdy Bunt Młodych przeistacza się w Politykę, Legion Młodych w towarzyszy PPS-u... zielone, szare, białe konsole przechodzą koniec końców w ochronny kolor PW — rzecz można, że nie ma prądu politycznego tak dokładnie potępionego w Polsce jak faszizm“.

„Nie wiem, kto odkrył po raz pierwszy popularną dziś dogmatyczną niemal prawdę, że Polacy „nie nadają się” do faszyzmu.

Przyznam się, że zadawszy sobie to pytanie, skłonny byłbym odruchowo przypisać wszystko Żydom. Cóż, kiedy po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że antytotalistyczna postawa należy organicznie do dobrego tonu polskiego inteligenta“.

„Jednym z największych naszych błędów jest bezmyślne, mechaniczne, dokonane jak gdyby pod wpływem nałogowej psychozy wypieranie się faszyzmu“.

„Komu nie imponują fakty dokonane, nie zauważają, że wypróbowany już w życiu faszizm jest równocześnie nawskroś nowoczesną ideą społeczną, jedynym wynalazkiem w tej dziedzinie od czasów Marksa. Nie myślę niłogo szantażować noblizmem nowoczesności — ale wszyscy chyba przecież odczuwamy, że jedynym naprawdą młodym, oryginalnym żywiołowym prądem dzisiejszych czasów jest tylko i wyłącznie faszizm. Wszystkie inne prądy społeczne razem z leninowskim i stalinowskim komunizmem, tracąc obok niego stęchlizną minionych lat.

Faszyzmowi nie mamy do przeciwdziałania nic istotnego. Stąd wniosek logiczny: nie nadający się do faszyzmu Polacy nie nadają się w ogóle do niczego.

OBCE WZORY

„Pion” Nr 21 (242)

Wtedy to, gdy faszizm powstawał w klasycznej swej ojczyźnie, we Włoszech — my, sympatyzując i sprzyjając mu potwórnymi narzucami sobie całą dialektykę antyfaszystowską, która, kierowana po części przez Moskwę, po części przez demokracje, po części przez Żydów, z miejsca ruszyła do walki z nowym prądem.

Treść faszyzmu włoskiego jest jasna, heroiczna i zapładniająca fantazję obrazami chwaly, które dla Włoch mogą być rzymskie a dla nas polskie!

Faszizm rozpłomienia energię narodu, narodu pracowitego, ambitnego i żyjącego w

ciężkich warunkach, do wywalczenia sobie szerszego pola działania!

Odrzucać faszizm jako wzór obcy i utrzymywać, że Polska leży w środku Europy — to jest właśnie łatwizna, to jest strach przed wyjaśnieniem własnego oblicza, to jest brak poczucia oryginalności, to jest brak wiary w odrębność i tradycyjność swej kultury“.

WOLNOŚĆ I LUD

„Pion” Nr 22 (243)

Jednoznaczne i powszechne pojęcie „narod” — zaczyna zdobywać z powrotem utracony zasięg. Aby się jednak stało na nowo jedyne, nie wystarczy klęski marksizmu i jego doktryny o klasowej międzynarodowości.

Rozumiem żalność i gorzność demokratów spoglądających na żywiołowy udział mas w ruchu faszystowskim. Dopóki faszystowskie były tylko Włochy, można było mówić, że lud włoski popadł w niewolę, ponieważ... no, ponieważ miał zamknięcie do patetycznych gestów, nie odznaczał się szczególnym wyrobieniem społecznym itp.

Kiedy jednakże zrzekł się swych swobód demokratycznych i lud niemiecki, zdobyty i zjednany przez garstkę hitlerowców, skoro z kolei i lud austriacki zrzucił skórę demokratyczną z zadziwiająco łatwością — do, gdzieś do tego, że jeszcze tylko lud francuski może i angielski jest prawdziwym ludem, wszystkie zaś inne trzodą, niegodną ludzkiego imienia i pozbawioną zupełnie ludzkiego poczucia wolności.

W rzeszach faszystowskich zjawia się przed nami zjawisko nowego ludu i nowej jego wolności!

Lud żywy i karny rwący się do działania w imię dobra, które musimy nazwać publicznym w najwyższym stopniu, bezinteresowny w swoim zapale — jest w pozycji kultury zyskiem wielkim i niewątpliwym.

SŁOWO O PRZYMUSIE

„Pion” Nr 23 (244)

Walka z faszyzmem — to, mówiąc nowoczesnie, kompleks nienawiści.

Dochodzić, dlaczego faszyzm nienawidzą komuniści oraz wszyscy pokrewni im duchem i pojęciami, nie ma chyba potrzeby.

Idee faszystowskie obaliły marksistowski monopol na rozwiązanie sprawy socjalizmu.

RYSZARD MATUSZEWSKI

Liryka wojny w dobrzyńskim zaścianku

ALEKSANDER RYMKIEWICZ jest najmłodszym z wybitnych poetów grupy wileńskiej; tej, która dała nam Miłosza i Zagórskiego, Bujnickiego i Putramenta — grupy „Zagarów”. Swego czasu, kiedy obok „Trzech zim” Miłosza i „Przyjścia wroga” Zagórskiego ukazał się jego „Tropiciela”, poemat fantastyczny, pełen zimnych uroków wileńskiego pejzażu, zmieszanych z niespokojną egzotyką krajobrazów polarnych, poemat przeniknięty klimatem smutku i melancholii, przeczuć, wieszczących zagładę zgodnie z atmosferą, nie mającego jeszcze tej nazwy „katastrofizmu”, nie żyjący dziś entuzjasta poetyckiej fantastyki, nieodżałowany Ludwik Fryde stawił utwór ten wyżej bodaj niż „Trzy zimy”, uważając Rymkiewicza za największe nadzieje rokującego przedstawiciela wileńskiego klanu. Pamiętam, że nie bardzo chciałem się z nim zgodzić. Zdawało mi się, że Rymkiewicz, co byłoby zresztą, zważywszy późniejszy nieco jego start poetycki, rzeczą naturalną — świecił wtedy raczej światłem odbitym młodszego satelity wileńskich augurów.

Późniejszy rozwój poetycki „Zagarystów” oddalił od siebie ich drogi twórcze. Wpłynęły na to zapewne zarówno dyspozycje osobiste jak w niematym stopniu rozproszenie i różne koleje wojennych losów. Dziś odległe to pozycje: pesymizm i arystokratyzm Miłosza, fantastyczna i pełna humoru afirmacja życia w twórczości Zagórskiego, bojowe strofy Putramenta, satyra i liryczna lezka Bujnickiego — różnią się między sobą tak artystycznie jak i ideologicznie. Różny jest też nowy, powojenny Rymkiewicz.

Pokażny, obejmujący całą od początku r. 1939 twórczość poety tom „Z narodem“*) wskazuje na duże przeobrażenia w liryce

*) Aleksander Rymkiewicz „Z narodem” poczęte wyd. „Panteon” Warszawa 1947, str. 128.

Wraz z nim runęła teza o międzynarodowej i ponadnarodowej solidarności klas. Socjalizm ma przeto rzeczywiste podstawy nienawidzić faszyzmu.

Być może, że i u nas znajdują się tacy, którzy osądzą, że lepiej iść pod murek na zgęstych kolanach i dostać z tyłu kulę w łeb, niż poddawać się systematycznym upokorzeniom w dyscyplinie obozów koncentracyjnych. Rzecz gustu!

Ale nikt chyba nie zaprzeczy, że zachowanie człowieka nawet w przymusowej dla niego sytuacji, jest pewnym aktem wiary w człowieczeństwo, wiary, którą przekreśla ponurość egzekucji bezpośredniej czy pośredniej.

Rozwój wypadków w państwach faszystowskich wskazuje nam też na ciągły proces łagodzenia ostrych metod przymusu.

Zawile doprawdy są drogi sumienia jałotentowanych wyznawców humanitaryzmu i obrońców wolności.

Luź też z nich przedefiniowało proroczo przed naszymi oczami, żeby utonął w cieniu niestawy i porażki moralnej!

Co bystrzejsze głowy mają przynajmniej odwagę przyznać się do komunistycznej demagogii, żeby z powrotem utonął w świecie liberalnego demokracji, którego beznaściejności sami są zresztą najwierniejszymi piewcami.

Inni trwają w nieosiągalnej zajadłości nie dostrzegając, że suma dobra kulturalnego i moralnego, broniona dziś przez heroizm „praw człowieka” i wolności obywatelskiej jest coraz mniejsza i coraz mniej warta uwagi.

Jeżeli niejednemu z nich zdaje się, że stoi na straży wspaniałych niezawodnych osiągnięć twórczych XX wieku, jeżeli byle gębach sądzi, że on i tylko on odpowiada za Mickiewicza, Goethego, Beethovena, Chopina, Kanta itp., to nie bezcelniejszego, jak dzieło powstałe w bólu i walce przywiązując sobie dla obrony gnuśności.

ŚWIAT PRACY

„Pion” Nr 27 (248)

Ustrój demokratyczny obciążał świat pracy całym brzemieniem trosk cywilizacyjnych najtrudniejszego, najbardziej złożonego rodzaju

ju nie dając mu żadnych jednolitych wskazówek jak ma się z nimi uporać.

Wszędzie obecna „stupostaciowa wolność” demokratyczna otoczyła masy jak dżungla. Prawo do wolności stało się prawem do „ładzenia”. Prawo do pracy zmieniło się w prawo dreptania w miejscu i rycia nor jednych pod drugimi. Żadne zdobycze socjalne, żadna normalizacja trudu, podjęta na wewnątrz czy z zewnątrz nie rozbiła tych gąszczu. Dlatego z taką łatwością zyskiwał sobie masy pracujące faszyzm, który las przetrzebił, ogłodził z haszcy i ukazał każdemu człowiekowi jasną perspektywę świata, w którym żyje i dla którego pracuje.

Jawność ustroju społecznego jest niewątkszą zdobyczą faszyzmu, jeśli chodzi o interesy świata pracy. Jawność nie mogła być osiągnięta inaczej jak przez jednolitość. Jawna jednolitość stworzyła samorządny system kontroli, w którym wiele spraw ekonomiczno-socjalnych rozstrzygnął wstyd zarzaniania ponad miarę, czy też w ogóle życia kosztem cudzego wysiłku.

Obawa przed dysfamią zgłotywała skuteczniej próżniaków i wyszklawczy niż trybunały rewolucyjne. Faszizm, ukróciwszy możliwość nadużyć, nie odmówił nikomu prawa należenia do świata pracy. Nie ludził nikogo, że praca anuluje dziedziny hierarchii.

Zwiększając jednak hierarchię moralną, przykrócił różnicę materialną. Ograniczył człowiekowi swobodę dysponowania sobą ale i odebrał mu możliwość dysponowania swobodą drugich dla osobistej wygody.

Wolność demokratyczna stworzyła równe szanse dla zdolnych i przeciętnie przewrotnych i cnotliwych, przebiegłych i prostodusznych.

Różnica między demokracją a faszyzmem polega między innymi na tym, że demokracja usiłowała narzucić masom prawdy i doktryny wymyślone w laboratoriach społeczników, faszizm zaś sięgnął po prawdy mas i podjął je jako swoje. Prawdy mas były prostsze, może bardziej brutalne od wielkich ideałów demokracji i wspaniałej doktryny Marksa.

Były jednakże i uczciwsze i naturalniejsze **bardziej ludzkie** — ludzkie bez cudzysłowu.



Aleksander Rymkiewicz

stycznych i niezwykłych kształtów poetyckich. Chociaż i w przedwojennej jego twórczości zwracał uwagę swobodny, nieoszlifowany dążeniem do jakiejś formalnej czy też intelektualnej precyzji bieg bujnego, obrazowego słowa, to jednak dopiero twórczość obecna puszcza całkowicie wolne wodze niehamowanej, narracyjnej rozlewności, romantyzującej, pieśniowej lub balladowej śpiewności i tzw. „szerokiemu oddechowi epickiemu“.

Nie jest to droga bezpieczna dla liryka ambitnego i dbałego o samodzielność wyrazu. Zbyt łatwo przy takich założeniach wpada się w utarte szlaki mickiewiczowskie, lub wężej szlaki Syrokoni czy Zaleskiego. Rymkiewicz do poezji wniósł te same osobiste dyspozycje kresowego inteligenta o szlacheckiej genealogii, co niegdyś większość poetów romantycznych, co w nowszych czasach Baliński, Podhorski - Okołów, Iwaszkiewicz, wreszcie Miłosza, Putramenta czy Huszcza. Ale tak jak z poetów romantyzmu jedni pomnożyli te dyspozycje o całą niezwiązaną wyłączenie z aurą swojszczyzny problematyką poetycką epoki, inni zaś swojszczyznę tę uczynili nutą główną, podobnie i poeci współcześni odbiegli mniej lub więcej daleko od kraju lat dziecińczych. „Kotyśanka” Miłosza będzie autora „Ocalenia” wiązać zawsze z „provincją, gdzie salwa co dzień błyska” ale „Stena” czy „Piosenka o końcu świata” ukazuje go na tyle zupełnie innej scenarii. Rymkiewicz, jak Zaleski, Podhorski - Okołów czy Mickiewicz z ballad, zadeklarował się w swej nowej twórczości jako poeta „kresowy” i „ludowy”, poeta „narodowy” w tym znaczeniu stosunkowo wąskim, jakie nadają ramy pewnej określonej tematyki i skala określonych, aprobowanych przez zbiorowość uczuć.

Oczywiście u Rymkiewicza jest to świadomym wyrazem samoograniczenia, decyzją podobną do tych, jakie czasu wojny powzięło wielu innych poetów, ciekawe jednak, jak

decyzja tego rodzaju inaczej manifestowała się u poszczególnych twórców. Jednych zdynamizowała do bezpośredniej postawy walki, innych uczyniła poetyckimi świadkami i sędziami czasów niepodobnego do innych wojennego kataklizmu, kładąc im w usta słowa tłumaczące szczególnie sens wojny antyfaszystowskiej, jeszcze innym kazała mówić o rzeczywistości tylko aluzjami. Rymkiewicz stał się lirycznym kronikarzem zdarzeń w środowisku, które reprezentował: na kresowej wsi i w prowincjonalnym mieście, biorącym w zjawiskach udział żywy, ale podporządkowany dyrektywom nieznanym i dalekim. Wiele w kronikarstwie tym bezpośrednio i szczerze, wiele uczucia, ściśle określone i zdeterminowane refleksje. Wojna ze strof Rymkiewicza — to wojna ludzi prostych i myślących prosto, powołujących dawne, odziedziczone schematy do wytłumaczenia dziejowych zjawisk, które tu przybierają dla poety tradycyjne, niezmienną formę. Nie wiele tu, poza opisem spalonego wśród wiejskich pagórków czołgu — elementów współczesności. Czasem — nieomal mickiewiczowski rok 1812 w dobrzyńskim zaścianku! Znajduje to swój wyraz formalny w znacznym zestawieniu z okresem przedwojennym, uproszczeniu środków wyrazu. W stanowiącą zasadniczy, najistotniejszy walor talentu poety obrazowości i plastyczną, powiedziałbym realistyczną konkretność malarskiego widzenia pejzażu i człowieka wmięszają się cechy nowe: stylizacja ludowa dość tradycyjnego, romantycznego typu oraz patriotyczna retoryka. Skłonność do wypowiedzi nawpół epickiej dająca się zauważyć już w wierszach przedwojennych znalazła tu wyraz w gawędowych partiach dłuższych poematów z rodzaju, który stanowiąc jakąś pozostałość gatunków poetyckich stosowanych w okresie romantyzmu, pojawił się u nas na nowo na krótko przed wojną. (poematy Piętała, „Scena przy strumieniu” Szenwajda).

Osobiście nie wydaje mi się, aby na tej linii leżały jakieś możliwości rozwoju współczesnej poezji, zasadniczo coraz bardziej od połowy XIX w. krystalizującej się wokół jakichś kanonów lirycznych. Nie chcę poruszać tu w sposób ogólny sprawy możliwości odrodzenia form epickich w poezji. Wydaje mi się jednak w każdym razie, że pojawiające się w ostatnich latach próby łączenia postawy lirycznej z partiami półepickiej narracji, elegijności z gawędziarstwem i retoryką, wplatanie urywków dialogów pomiędzy osobiste wypowiedzi liryczne i temu podobne usiłowania zatarcia granicy rodzajów poetyckich nie dawały na ogół zadawalającego estetycznego rezultatu; były nużące, nie sprzyjały precyzyjny wyrazu, krystalizacji wzruszeń czytelnika na tak różnych opartej podstawach w utworze lirycznym i epickim. Dotychczasowe próby stworzenia tu jakiegos stopu gatunków wyraźnie zawiodły. Gorąco namawiałbym Rymkiewicza na formy, do których zresztą zdaje się powracać w końcowych wierszach tego tomu: formy wyraźnie liryczne. Wydaje mi się, że wypowiada się on w nich lepiej.

Zwraca przy tym uwagę, że w ostatnich utworach dawny wizualizm Rymkiewicza wypiera często partie retoryczne. Niektóre z nich mają dużą siłę wyrazu (np. Umarcie miasto, Płaskorzeźba), szkoda byłoby jednak, aby usunęły one w cień to, co podkreśliłem jako główny atut poety: malarstwo i czułą obserwację przyrody.

Ważny taki „Wieczór i ranek”. Kiedy już zachód, to pod boru ścianę sfruwały domki, jak kuropatw stado, Swawolna wstążka na maliny spada i twarz dziewczyny znika roześmiana.

Księżyc wychodzi rdzawy z moczarów i blyska między gałąz u dotu. Psy weszą. Okno pod borem miga, przez las daleko stuką koła.

Rano otwarta pochodom dolina. Obok łożyska czarnego potoku niezapominając chmury lesne podkuta noga do ziemi przegina.

Rwie się spłoszone ptactwo nad wodę — i zdziwiony pięknością widoku przystaje żołnierz obcego narodu i nieruchomo patrzając żuje chleb.

Ile w tym prawdy obserwacji, ile „realizmu” mimo widocznej stylizacji: („romantyczna wstążka”) jak żywy jest człowiek na tle krajobrazu! W wielu wierszach z poematów „Wojenna jesień” i „Siedem dni” te same plastyczne możliwości (są liczne, łatwo je wskazać jak opis czołgu w „Siedmiu dniach” lub wiersz „o żuku w „Błękitnym Stepie”) utopione zostały w nużące a niekiedy (np. w wierszu „Rozmowa z Mickiewiczem”) wręcz trywialnej retoryce. Z poematów najlepszym, najharmonijniejszym wydaje mi się, poświęcony pamięci brata lotnika „Błękitny step”.

Poezja Rymkiewicza jest pesymistyczna i w swej posępnej elegijności przypomina mi niekiedy jeszcze jednego i to nie bylejakiego z liryków romantycznych: Antoniego Malczewskiego. Tragiczność, nie będąca tu jak się zdaje bynajmniej dekoracją ma rodowód dawniejszy niż doświadczenia wojny. Analizując „katastrofizm” wileńskich poetów nie zwrócono może dostatecznej uwagi na jego podłoże społeczno - historyczne, na tragizm sytuacji warstwy, która nie umiała już powiłać swego losu z losem mięjsa, w których wzrosła. Strofy Rymkiewicza to może jedna z ostatnich prób tego rodzaju powiązań uczuciowych. Czy po zerwaniu owej więzi potrafią one zamknąć nowy świat w nowym spojrzeniu poety? Ofiarowany nam, retrospektywny w zasadzie tom nie daje na razie odpowiedzi na to pytanie. Byłoby jednak co najmniej przedwczesne nie żywić wiary, że ją od autora otrzymamy, i to pozytywne.

Ryszard Matuszewski.

WANDA GRODZIENSKA

Trzy przekłady książek dla dzieci *)

JUZ SAMA koncepcja jest niewątpliwym walorem artystycznym książki A. A. Milne pt. „Kubuś Puchatek”. Wątek realistyczny spiata się harmonijnie z wątkiem bajkowym, tworząc skomplikowane i zabawne sytuacje. Bohaterami książki są ożywione zabawki i chłopczyk Krzys, który w bajkowych momentach bierze żywy udział w przygodach zabawek, a jednocześnie w realistycznej części powieści jest tylko pilnym słuchaczem, który jednak z pewnym niedowierzaniem przyjmuje opowiadania o swoich perypetiach z przyjaciółmi. Ale fikcja przemawia mocno do wyobraźni dziecka, które „przypominając” sobie na niby fakty z bajki potakuje im, zamieniając fikcję w rzeczywistość:

„Pamiętam, tylko kiedy chcę je sobie przypomnieć, to zapominam...” Jednocześnie, aby utwierdzić swego narratora w przekonaniu, że historyjki jego nie są zmyślone, Krzys kilkakrotnie podkreśla, że sam pamięta wszystkie zdarzenia, tylko Puchatek prosi o ich powtórzenie, bo lubi prawdziwe historie, a nie wymyślone.

W ten sposób na pograniczu fikcji i rzeczywistości powstaje bajka, mająca pozory prawdy, konkretny obraz w świecie wyobraźni, nonsens z góry zamierzony, gdzie zabawki tak myślą i mówią, jak małe dzieci.

Bezspornie autor posiada dużą wiedzę z dziedziny psychologii dziecięcej. Powieść jego, jeśli można przeprowadzić paralele w tak różnych rodzajach literackich, przypomina słynny „telefon” K. Czukowskiego, gdzie nonsens słowny wynika z tych samych pobudek psychologicznych jakie obserwujemy w „Kubusiu Puchatku”.

Świetny przekład Ireny Tuwim z całą pewnością dorównuje oryginałowi, jeśli go nie przewyższa nutą prawdziwej poezji:

„Właził, właził coraz wyżej, coraz wyżej, a gdy wreszcie właził na górę, prawie do połowy drzewa taką sobie piosenkę mrużącącę Miś zaśpiewał...”

Jakkolwiek „Kubuś Puchatek” A. A. Milne nie wnosi do literatury dziecięcej żadnych wartości pedagogicznych, a może właśnie dlatego, że nie jest przeciętny wstawkami moralizatorskimi, powieść ta stanowi wyjątkowo udaną lekturę dla młodszych

*) A. A. Milne „Kubuś Puchatek”, przekład Ireny Tuwim, ilustr. Ernesta Shepharda. Nakł. Spółdz. Wyd. „Wiedza” str. 183.

C. Colloidi „Pinokio” czyli „Przygody drewnianej kukielki” w oprac. Józefa Wittlina. Nakł. Spółdz. Wyd. „Wiedza” str. 205.

Frances Hodgson Burnett „Tajemniczy ogród”, Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 251.

MARIA JANION

Polonistyczne obrachunki

W dotychczasowych sprawozdaniach ze Zjazdu Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej, które ukazały się na łamach tygodników „Wies” i „Po prostu”, przy omawianiu społecznego znaczenia Zjazdu młodzieży polonistycznej, zwracano raczej uwagę na akademicki aspekt zagadnienia, na doniosłość Zjazdu dla programu i działalności studenckich kół naukowych.

Lata powojenne mijają w odniesieniu do zagadnień budownictwa nowej kultury pod znakiem walki o reformę szkolnictwa średniego i wyższego. Pod znakiem walki o zmianę podstaw kształcenia kadr nauczycielskich, o wychowanie młodego aktywu działaczy oświatowych, którzy podejmą trud wyrównania zadawnionych krzywd społecznych, stworzenia warunków dla kulturalnego awansu mas ludowych.

Z tego względu samorzutna organizacja młodzieży polonistycznej, tradycyjnego zespołu ludzi czynnych na humanistyczne uniwersyteckie, związanej może wyjątkowo silnie z aktualnymi formami pozauniwersyteckiej pracy oświatowej, zasługuje na uwagę czynników, organizujących współczesne życie kulturalne.

Młodzież polonistyczna musi sobie uświadomić silnie postulat społecznej odpowiedzialności za celowość i pojemność swych studiów, formujących zasób wiedzy i wyrobienie społeczne przyszłego pedagoga — fachowca. Polonista w szkole średniej pełni najpoważniejszą funkcję wychowawczą, kształtuje typ kultury wychowanków szkoły. Za kilka lat dzisiejsza młodzież polonistyczna będzie decydowała o obliczu i funkcji społecznej szkoły średniej oraz o kierunku i formach pozaszkolnej akcji oświatowej.

Zainteresowanie i poparcie, jakie znalazła działalność Związku u władz oświatowych i ugrupowań działaczy kulturalnych (Min. Oświaty, Z.Z.L.P., czasopisma społeczno-literackie) wywołane były docenieniem doniosłości polonistyki jako ośrodka, produkującego raczej przyszłych badaczy i krytyków literackich, a nie wychowawców i ludzi decydujących o kulturze literackiej przeciętnego obywatela. Nie pamiętał też o tym sami uczestnicy Zjazdu. Najdonioślejsze praktycznie dla młodej polonistyki zagadnienia pedagogiczne nie zostały wyczerpująco poruszone na I Zjeździe w r. 1946, a zupełnie uszły uwagi Zjazdu w r. 1947. Przeoczenie to powinno zostać naprawione na III z kolei

dzieci ze względu na doskonały poziom artystyczny, znajomość psychologii dziecka i dominujący element humoru sytuacyjnego i słownego, którego brak odczuwano bardzo silnie w twórczości dla dzieci.

Nie mniej emocjonującą lekturą dla dzieci od lat 7 do 12 są „Przygody drewnianej kukielki” C. Colloidi’ego. Niezwykłe sytuacje, pełne humoru (a jak wiemy humor sytuacyjny jest niezastąpioną niczym atrakcją dla dzieci) bezustannie zaskakują młodego czytelnika. Niefortunne skutki kłamstwa, nieposłuszeństwa i lenistwa Pinokia zmuszają dziecko do zastanowienia się i wyciągnięcia samodzielnie pozytywnych wniosków. A jednocześnie pogodna i groteskowa fantastyka utworu wciąga je bez zastrzeżeń w świat przeżyć kukielki.

Drewniany pajacyk jest w intencji autora żywym chłopcem ze wszystkimi wadami i zaletami rzeczywistego dziecka i dlatego młodzi czytelnicy odnajdują w nim samych siebie, współczują mu i z gorącą sympatią śledzą jego losy, pragną mu pomóc.

Słyszałam refleksje dziecka, które z zapartym oddechem czytało tę książkę. „Głupi Pinokio! Dlaczego posłuchał psa i kota!” albo „Jak mógł sprzedać elementarz, który dostał kosztem ciepłego kożuszka ojca!”

Tego rodzaju reakcje mówią same za siebie. Dziecko po przeczytaniu Pinokia nie popełni błędów drewnianej kukielki, gdyż bajka budzi w nim refleksje mocniejsze i trwałe niż moralizatorska czytanka.

Przekład Józefa Wittlina posiada wszystkie walory pióra tego pisarza, jednakże czy to z winy złej korekty, czy niedopatrzeń tłumacza zdarzają się dość niezręczne potknięcia np.

„...apetyt do chłopców przybywa...”, „...czy jego były przywarte...”, „...kiedy waż... uwolni drogę od swojej okupacji...”, „z tego nateżającego śmiechu...”, „...nie chciał go oskarżać pośmiertnie...”, „...czy pani, przechodząc się cały dzień...” itp.

Wielka szkoda, że wydawnictwo nie przeprowadziło staranniejszej korekty, gdyż jednym z nieodzownych warunków dobrej książki dla dzieci jest przynajmniej absolutna poprawność stylu.

Trudno jest podać rewizji swój stosunek do książki z okresu dzieciństwa. Powieść Frances Burnett pt. „Tajemniczy ogród” została w mej pamięci jako głębokie przeżycie, na które składał się obraz budzący się do życia przyrody i poetyczny nastrój serdecznego współczucia człowieka z ptakiem, zwierzęciem i rośliną. I jest to bodaj jedyny pozytywny sens tej chybionej książki dla młodzieży.

Gdy rozpatruję obecnie punkt po punkcie fabułę „Tajemniczego ogrodu” zdumiewa mnie jego przedwojenna poczytność. Jest to książka typowa dla burżuazyjnego okresu jeszcze sprzed wojny światowej, bo ludzie występujący w niej są nie do pomyslenia już nawet w okresie międzywojennym (tj. w latach 1918—1939). Już od samego początku powieść wprowadza czytelnika w nieprawdopodobną atmosferę rodzinna, a chwył ten nierzeczywisty i niedorzeczny powtarza się w dalszym ciągu utworu po raz drugi. Chodzi tu mianowicie o ukrywanie dzieci przed otoczeniem spowodu brzydoty (Mary), czy kalektwa i choroby (Colin).

Ludzie dorosli dzielą się w tej książce na panów i niewolników. Panowie z reguły ławią sę lub hodują swój spleen w podróży po całym świecie. Dzieci ich natomiast zostawione na opiece służby, stają się władcami i tyranami tych niewolników. Jest wprawdzie garstka ludzi z plebsu, która wbrew logice faktów zachowuje niezależność duchową i godność osobistą (ogrodnik Ben Weatherstaff, Zuzanna Sowerby), ale i oni wobec panów okazują służalczą pokorę.

Nie lepiej dzieje się w świecie dzieci. Mary poznajemy w najtragiczniejszej chwili życia, gdy rodzice jej i całe otoczenie wymiera na skutek epidemii cholery. Ale dziewczynka reaguje na wszystkie nieszczęścia absolutną obojętnością z tak nieprawdopodobnym egoizmem, że trudno wyobrazić sobie tę przemianę duchową, jaką insynuuje jej autorka w dalszym toku powieści. Colin jest typem wyraźnie patologicznym. A jedyiny sympatyczny bohater, Dick, sprawia wrażenie czegoś pośredniego między zaklinaczem węzów, a Mowglim ze znanej książki Kiplinga.

Proroce sny Archibalda Cravena (ojca Colina), jego romantyczno - sentymentalne wędrowki po Szwajcarii, reminiscencje ze słynnej rozprawki Mulforda pt. „Przeciw śmierci” w ćwiczeniu woli i leczeniu auto-sugestią — wszystko to nie daje się podciągnąć pod tematykę specjalnie nadająca się dla dzieci, a nawet młodzieży.

Jeśli do tych rozważań dodam jeszcze, że styl przekładu nie stoi wcale na wysokości zadania, a cała książka roi się od omyłek korektowych, to reasumując muszę stwierdzić, że według mego mniemania wznowienie tej powieści było poważnym błędem wydawnictwa tak ze względu na jej wartość literacką i społeczną, jak i z uwagi na brak papieru drukarskiego.

Wanda Grodzienka

poznawcze, wycieczki, tradycyjne obrzędy żakowskie, patriotyczno - literackie prelekcje z fortepianem. Praca samokształceniowa: w długie wieczory zimowe członkowie Sekcji Naukowej niektórych Kół rozmyślają nad „Nowym średniowieczem” Biedrzykiewicza lub „Der Untergang des Abendlandes” Oswalda Spenglera, dyskutują przebrzmiałe koncepcje pseudonaukowej starzyny. Katastroficzne wizje końca cywilizacji europejskiej zaprzatają uwagę przyszłych działaczy kulturalnych. Inne Koła wyczerpują swe ambicje naukowe w dlabaniu bibliograficznej. Jedynie łódzka grupa dobrowolnych męczenników humanistyki zabiera się do systematycznych studiów metodologicznych, uczęszcza na seminarium teoretyczno - literackie, prowadzone z ramienia Z.Z.L.P. przez zespół „Kuźnicy”. W ramach Sekcji Badań Naukowych Koło prowadzi prace nad stylistyką, urchadza prywatne kolokwium z najważniejszych pozycji współczesnej stylistyki teoretycznej.

Mimo, że tylko grupa łódzka prowadziła konsekwentnie prace nad pogłębieniem swej wiedzy teoretycznej, na II Zjeździe Związków K.P.P.M.A. w Krakowie (w dniach 31.10 — 3.11.47) doszło do zupełnego wykrystalizowania nie tylko ideologii polityczno-społecznej, ale i naukowej młodzieży.

Zjazd z r. 1946 postawił przed młodzieżą polonistyczną zagadnienie doniosłości dyrektyw określonej ideologii naukowej. Ścisłejsze uwiązanie się młodzieży z konkretnymi ugrupowaniami politycznymi, które dokonało się w ciągu roku akademickiego, zniweczyło mitu społecznej izolacji młodych naukowców, postawiło ich wobec konieczności ostatecznego opowiedzenia się za jedną z przeciwstawnych sobie teorii kultury, a zatem i za określoną techniką badań historyczno - literackich. Na tegorocznym Zjeździe starł się członkowie sodalicy akademickich, grupy „Dziś i Jutro”, „Wici”, A.Z.W.M.-u i Z.N.M.S.-u. Analogicznie zdecydowani formalści walczyli ze zwolennikami metody socjologicznej w badaniach literackich. Na peryferiach pierwszoplanowej rozprawy formalizm — metoda socjologiczna manifestowały swe istnienie niedobitki psychologizmu i idealizmu.

II powojenny Zjazd w roku bieżącym poświęcony został tematowi: Prus, pozytywizm. Znamienne jest to uzależnianie całorocznej pracy naukowej wszystkich Kół oraz tematyki obrad Zjazdu od kierunku, wytyczonego

Przysłowiowy kij został wetknięty w mrowisko.

Rok akademicki 1946—47 w zwiernadłe trymestralnych sprawozdań Kół był ze-wniewolniony kontynuacją tradycyjnych wzorów działalności Koła naukowego: wieczorki za-

PRZEGLĄD PRASY

przez „starszych” (Zjazd Naukowo - Literacki im. Bolesława Prusa w Warszawie w roku 1946). Skłonność do przetranszywania dróg zaznaczyła się także w debatach nad programem Zjazdu planowanego na rok 1948. Zainteresowanie Norwidem, rozbudzone na nowo przez wystawę obrazów i związane z tym publikacje naukowe z r. 1947, nasuwało jako obowiązek przywrócić pomysł dorzeczenia wszystkim Kołom badań norwidologicznych. Szczytem poprawności politycznej była nadzieja zafrapowania przyszłego Zjazdu badaniami nad twórczością Mickiewicza.

Doświadczenia zebrane na dwóch Zjazdach wykazały, że ich dorobek naukowy jest z konieczności nikły. Ośrodkiem zainteresowań nie są przyczynki historyczno - literackie. Nie ma też nadziei, aby III Zjazd dorzucił rewelacyjne odkrycia do wiedzy o Norwidzie czy Mickiewiczu. Nie powinno to być zresztą jego zadaniem.

Ośrodek łódzki wysunął propozycję zaprzęgnięcia Kół badaniami literackiego dorobku dwudziestolecia międzywojennego. Literatura dwudziestolecia jest okresem zamkniętym, lecz jest wciąż jeszcze naszą „literaturą współczesną”, ciąży nad dzisiejszym życiem literackim, wychowuje młodych pisarzy. Dotychczasowe próby oceny, podejmowane przez publicystykę, są fragmentaryczne i nie dość umotywowane. Wydaje się koniecznym dla stworzenia zdrowych podstaw kształcenia upodobań młodej polonistyki zorientowanie się w różnorodnym dorobku literatury dwudziestolecia i ustalenie własnego stosunku do jej pozytywnych osiągnięć i błędów. Będzie to niewątpliwie bardziej instruktywne i donioślejsze w skutkach, niż napisanie jeszcze pięciu prac o poglądach Norwida na sztukę.

Wobec tematyki II Zjazdu Łódź wysunęła jako uzupełnienie teoretyczne rozważania nad powieścią realistyczną. Centrum zainteresowań Zjazdu stanowiły dyskusje nad referatami teoretycznymi - literackimi i kwestie metodologiczne.

Zainteresowania metodologiczne wyłożyły się na tle zagadnień historyczno - literackich. Powieść Prusa „Dzieli” poddano analizie formalistycznej, socjologicznej i historyczno-literackiej, przygotowanej przez trzy różne ośrodki. Było to punktem wyjścia do rozstrzygających kontrowersji Zjazdu, wpływających na każdy posiłek naukowy - na temat wartości naukowej metody formalistycznej i socjologicznej.

Ten aspekt Zjazdu został już oświetlony wczepując w dwóch sprawozdaniach zamieszczonych we „Wsi” i w reportażu z „Po prostu”.

Uczestnicy Zjazdu uskarżali się wprawdzie czasami na „teoretyczne” piękło zgotowane przez Łódź (zarówno akademicką, jak i publicystyczną (wypowiedzi przedstawicieli redakcji „Kuźnicy” i „Wsi”): zgodzono się jednak, że jest ono koniecznym etapem w drodze do poprawnej naukowo historii literatury.

Jest momentem zmiennym, że przy całym skonkretyzowaniu postaw ideologicznych i politycznych uczestników II Zjazdu, mimo ostrości dysput, właśnie teraz zarysowały się możliwości współpracy przeciwnych sobie grup młodzieżowych. Mocno atakowanemu ośrodkowi łódzkiemu powierzono przewodnictwo Związku na rok 1947/48.

Ścisła zależność genetyczna postaw naukowych i politycznych, raczej cenna społecznie nieakademickość dyskusji zjazdowych i ścisły ich związek z rzeczywistością pozanaukową sprawiły, że ton obrad Zjazdu był zdecydowanie polityczny. Postawa młodzieży w czasie obrad wykazywała, że odnosiła się z całą powagą do działalności naukowej, że doceniała jej sens społeczny, że nie traktowała jej jako błażej zabawki - indywidualnego luksusu kulturalnego, pokrewnego manii filatelisty. Okazało się, że dla Kisieleja są to jednak rzeczy jednoznaczne.

Kisielewicz fatalnie wyszedł na krakowskim Zjeździe. Nabawił się kataru (podobno od przeciągów - zrozumiacie, wiadomo, komu szkodzi przewietrzanie zatęchłej atmosfery), a co gorsza nabradził potem w „Tygodniku” rzeczy dość kompromitujących. Ze to niby szatan - Żółkiewski uwodził duszę działawy, że działawa boksowała się na sali i była niegrzeczna dla profesorów i że to wszystko nie miało celu. Walka o nowy typ kultury, o sensowność humanistyki, troška o wiedzę i wyrobienie społeczne przyszłych pracowników kultury - to przecież stare „koniki” Żółkiewskiego, których trzeźwy człowiek nie może wziąć na serio. „Z kwestii naukowej robi się „słoń a sprawa polska”. Socjologia - możliwe, o coż tyle szumu?” - dziwi się Kisielewicz. Ależ oczywiście - to właśnie jest „sprawa polska”. I doprawdy nieładnie kłochać na to - nawet socjologicznie. Czyżby „Tygodnik Powszechny” w tonie poważnym umiał informować jedynie o rekolekcjach dla Eskimosów?

Paulina Czyżowa we „Wsi” wymieniła w dobroci serca parę wypróbowanych środków na utarcie nosa Kisielewiczowi. Może poskutkuje moczenie w piwie, bo na „perswazję rozumu” - według wszelkich danych - jest już za późno.

Maria Janion

Ostatni numer „Twórczości” zaspokoił chyba potrzeby wszystkich malkontentów. Tak myślę, sam bowiem narzekam na anachronizm „Twórczości”. Kolejny numer tego pisma wydaje mi się już bardzo związany z rzeczywistością. A co ważniejsze: związany ten obył się bez wulgaryzacji, taniej propagandy, bez podciągania rzeczy o niewysokiej wartości artystycznej do miana rzeczy właśnie w tej dziedzinie wybitnych, jak się to często działo, zwłaszcza w dodatkach literackich do pism codziennych, gdy starano się np. podkreślić wartość artystyczną tam, gdzie niestety świadczyła ona właśnie o niedorozwoju, wynikającym z niedorozwoju historycznego w przeszłości. Traktowano tak np. poezję bułgarską lub bułgarską, stanowiącą raczej dokument trwania narodu niż osiągnięcie artystyczne. Ale o to mniejsza.

Nowy numer „Twórczości” (11) przynosi kilka pozycji z dziedziny literatury i sztuki sowieckiej. Prozę reprezentują interesujące i ciekawie napisane notatki radiotelegrafisty statku handlowego sowieckiego zatopionego przez łódź podwodną, „Zapisk Kirilenki” - czytamy w redakcyjnej notatce - „stanowią świetny dokument ludzki, tłumaczący znakomicie psychikę i ofiarności człowieka radzieckiego”. Ten fragment prozy realistycznej i humanistycznej („Podtrzymywało nas poczucie wspólnoty, nieodzowność zgodnych wspólnych wysiłków w obliczu zagłady” - pisze Kirilenko) - jest godny uważnej lektury.

Drugą pozycją, dla polskiego czytelnika szczególnie przydatną, jest obszerny szkic Aleksiego Tołstoj „Owiercie wieku literatury radzieckiej”.

Polscy czytelnicy literatury radzieckiej przeważnie nie jest zorientowany w tym, że literatura ta, mimo wszystkie swoje głębokie związki z tradycją postępowej, klasycznej literatury rosyjskiej i zachodniej, różni się od nich obu dość zasadniczo. Powstała ona bowiem w innych warunkach ustrojowych i w inny sposób służy dziś tej samej sprawie co literatura Turgieniewa, Tołstoj, Gogola, Aleksy Tołstoj, pisarz, którego twórczość niedoskonale może reprezentować do przymierza między dawnym i nowym, wyjaśnia nam na czym polegają związki i różnice. Wykłada pozatem krótko i treściwie dzieje ideologicznej przemiany literatury sowieckiej od roku 1918 do naszych dni. „Ogólnoludzki sens czynny i historyczny całego budownictwa radzieckiego jako jedynej drogi rozwoju społecznego” - pisze Tołstoj - „ta nowość, tym waleczem, który wniósł literaturę radziecką do skarbnicy literatury światowej”. „Wiele ciężarów ci : owi z nich - pisze dalej Tołstoj, mówiąc o pisarzach radzieckich - „byli zbyt prostolinijni, schematyczni, ci i owi zamiast piórem posługiwali się pałką, inni nie wytrzymali krytyki czasu - jednak w nich wszystkich biło tętno niepowtarzalnych epok, wojny domowej, budownictwa pięcioletek, walki o bezklasowe społeczeństwo, epok, które są nauką dla całej ludzkości”. Mowa tu o pierwszym okresie literatury radzieckiej.

Różnice między literaturą rosyjską klasyczną i literaturą sowiecką są to różnice wynikające z tego, w jakiej sytuacji historycznej działają pisarze. Literatura klasyczna pokazywała, jak twierdzi Tołstoj, ludzką psychologiczną, literatura sowiecka pokazuje ludzką historyczną.

Skończ następuje krótki zarys historii literatury sowieckiej. Poprzez literaturę okresu wojny domowej i nępy, gdy w początkowym okresie zaznaczyły się prądy wrogie całemu dziedzictwu literackiemu, które dążyły do tego, by przeobrazić kulturę proletariacką całej kultury ludzkości” - dochodzimy do literatury ostatniej wojny światowej.

Tołstoj pisze następujące ciekawe zdania o antykulturalnych „ultralewych” tendencjach grupy „Proletkultu”: „Cała głęboka mądrość „teoretyków” Proletkultu i Rappu ograniczyła się do sortowania utworów i samych pisarzy na czarnych i białych, na burżuazyjnych, których należy wyniszczyć wszelkimi sposobami, i proletariackich, których należy wychławać... Patoz rewolucyjnej przebudowy sprowadzali oni do krzykliwej i pełnej pogrzezek demagogii”.

Dzięki związkowi z masami ludowymi literatura sowiecka zdobyła swoje właściwe oblicze ideologiczne i artystyczne.

Ciekawe jest również to co pisze Tołstoj o krytyce: „Krytyka nie może spełniać swych zadań bez znajomości przedmiotu i erudycji. W rozmowie z czytelnikami nie wolno już operować setką jednych i tych samych wyrażen i słów, wytartych od ciągłego używania i dlatego nie zatrzymujących się w świadomości czytelnika - trzeba przypomnieć sobie o czterdziestu tysiącach słów wielkiego języka rosyjskiego”.

Uwaga ta wydaje mi się bardzo aktualna i dla nas. Patrząc na grube tomy Słownika Warszawskiego i zastanawiam się, czy zawierają one mniej niż czterdzieści tysięcy słów.

Tołstoj w dalszym ciągu podkreśla osiągnięcia literatury sowieckiej w okresie drugiej wojny światowej, nie zapomina również o zdobywcach międzywojennych: o Gładkowie, Erenburgu, Leonowie, Katajewie, Szaginian. O dziełach wspomina o rozwoju powieści historycznej w ZSRR. O literaturze dziecięcej. O literaturach nierosyjskich, które od dawna związane były z postępową, klasyczną literaturą rosyjską. „Postępowa literatura rosyjska” - bowiem „nigdy nie znała pogardliwego stosunku do narodów zamieszkujących Rosję”.

„Literatura radziecka jest młoda” kończy Tołstoj swój wnikliwy i odbiegający bardzo od akademickiego przemówienia szkic - „w niej, jak w narodzie żyje i krzepnie siła moralna... droga literatury radzieckiej jest humanizmem... Społeczeństwo bezklasowe, które budujemy, stanowi konieczną przesłankę dla zwycięstwa humanizmu”.

Następną skończył pozycją „Twórczości” jest esay Georja Łukasza o Tomaszu Mannie: „W poszukiwaniu obywatela”. W ten sposób „Twórczość” pierwszą przerwą, młodziem, jakie panowało w prasie polskiej na temat literatury niemieckiej, (Studium Łukasza o Nietzsche, raczej filozoficzne, było drukowane przed kilku miesiącami w „Myśl Współczesnej”).

To młodziem, a raczej to przemilczenie tak wybitnej dla humanizmu europejskiego twórczości, jaką jest twórczość Tomasza Manna, nie było zdrowe, Tymbardziej, że z tego humanizmu pozostały szczątki, którym znów pragną zagrozić działaniem bomby atomowej. W tych warunkach powinniśmy raczej skrupulatnie wybrać i szeptać w ogromnym rumowisku kultury, jakie przedstawia dziś zachód naszego kontynentu. Twórczość Tomasza Manna, jego książki wydają mi się nieknie. Możemy je śmiało podnieść i choć były kiedyś palone na placu Opery w Berlinie, w roku 1933, są dość mocne - nie rozpylą się. Łukasz analizuje obszernie twórczość Manna i postawę Manna: „Interpretujemy myśliciela i polityka Manna od strony jego dzieła, a nie na odwrót, jak się to często robi” - pisze Łukasz, jeden z najwybitniejszych po Franciszku Mehringu marksistowskich badaczy literatury na Zachodzie.

Zasadniczym problemem twórczości Tomasza Manna, jest - według Łukasza - po

szukiwanie obywatela (w znaczeniu dodatnim, w jakim używała tego słowa krytyka rosyjska w XIX stuleciu). Te różnice - między obywatelem i mieszczańcem - rozumie dobrze sam Tomasz Mann. Świadczą o tym - według Łukasza - „Buddenbrookowie”.

Pojęcie obywatela - jak to wykłada Lukasz - jest ściśle historyczne i nie może zostać dziedziczone automatycznie przez coraz to bardziej degenerujące się pokolenie mieszczańskie. „Tomasz Mann przeobrażony obecnie w wychowawcę swojego narodu szuka obecnie obywatela w sposób wnikliwszy: szuka ducha demokracji w duszy niemieckiego mieszczaństwa, bada jej ślady, aby twórczością budzić ją i dźwigać”. Tomasz Mann wziął udział w walce o demokratyzację Niemiec w okresie weimarskim. Znamy tę walkę - to dialog Naphta - Settembrini z „Czarodziejskiej góry”.

Obiektywnie Mann odwraca się - twierdzi Łukasz - od swoich dawnych nauczycieli: Schopenhauera i Nietzschego.

„Poczynając od światopoglądu, a kończąc na czysto literackim ukształtowaniu, twórczość Tomasza Manna jest na wskroś postępową” - pisze Łukasz, zamykając swój esay, który może stanowić wzór krytyki marksistowskiej, w której obie prawdy - prawda historyczna i prawda wewnętrzna utworu literackiego - zostały troskliwie ocenione i wyłożone. Komu weleż jeszcze wydać się, że krytyk marksista - to urzędnik wydziału propagandy, a takich naiwnych jest jeszcze sporo, ten niech zapozna się z esayem Łukasza o Mannie.

W dziele prozy przynosi „Twórczość” opowiadanie Wandy Żółkiewskiej: „Kapel”, w dziele prac literackich - krótkie studium Zgorzelskiego „Mickiewicz w Rosji” - wspomnienie Stefana Flukowskiego o Szenwaldzie i o „Kwadrzyde”. W dziele recenzji Kazimiera Wyka omawia obszernie powieść Gołubiewa o Chrobrym.

ph.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

Landecki, Łukasiewicz, Wereszycki, Wilk, Podręcznik historii dla VIII kl. szkoły podstawowej nakład. Państw. Zakładów Wydawn. Szkoln. Warszawy, 1947, str. 400, Zł. 250.-

Serejski, Golia, Sreniowska, Zwolski: Podręcznik historii dla VI kl. szkoły podstawowej, nakł. Państw. Zakł. Wyd. Szkoln. Warszawa, 1947, str. 279, Zł. 170.-

Szafer i Dykowski: Zarys botaniki z ćwiczeniami, wyd. II, nakł. Państw. Zakład. Wyd. Szkoln. Warszawa, 1947, str. 464, Zł. 230.-

Chalubńska i Janiszewski: Ćwiczenia geograficzne części świata nakł. Państw. Zakładów Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 24, Zł. 20.-

Tadeusz Koziński: Budownictwo stałowe, część I, nakład. Państw. Zakład. Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 88, Zł. 160.-

Marian Krawczyk: Podstawy wychowania fizycznego w szkole podstawowej, wyd. II zmienione, nakład. Państw. Zakład. Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 190, Zł. 175.-

Zabiński Jan: Walka o zebra, nakład. Państw. Zakład. Wyd. Szkol., Warszawa, 1947, str. 55, Zł. 100.-

Antologia polskiej literatury dziecięcej - oprac. Ireny Skowronkówny, nakład. Państw. Zakład. Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 263, Zł. 200.-

Janusz Domaniewski: Pochodzenie zwierząt domowych, nakład. Państw. Zakład. Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 37, Zł. 45.-

Aniela Podgórska: Zeszyt przedmiotowy w nauczaniu biologii, nakład. Państw. Zakładów Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 68, Zł. 55.-

Dr. M. Szulkin: Drogi rozwojowe szkolnictwa radzieckiego, nakład. Państw. Zakł. Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 31, Zł. 50.-

Pisma Tadeusza Kościuszki: Nakład. Państw. Wyd. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 344, Zł. 360.-

Jan Bolesław Ożóg: Jej Wielki Wóz - nakł. Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich, Kraków, 1947, str. 116.

R. Popiewski: Układ mięśniowy człowieka, nakład. Wyd. E. Kuthana, Warszawa - Kraków, 1948, str. 199.

Władysław Dunarowski: Leżąc krzyżem, nakładem Wyd. E. Kuthana, Warszawa - Kraków, 1947, str. 279.

Maria Dąbrowska: Bogumił i Stanisław (Drama), Nakład. Wydawn. E. Kuthana, Warszawa - Kraków, 1947, str. 108.

Aleksander Witold Rudziński: Z logiki norm, Nakł. Wyd. Nauki Min. Oświaty, druk. Uniw. Jagielloń., Kraków, 1947, str. 60, Zł. 180.-

Wojciech Bąk: Zagadnienie i postacie - Nakładem Wyd. Wł. Bąk, Łódź - Wrocław, 1947, str. 117.

KORESPONDENCJA

W związku z zamieszczonym w N-rze 48 „Kuźnicy” listem J. Minkiewicza w sprawie zamierzonego przez nas wydania tomu wierszy oraz satyr ś. p. Światopelka Karpińskiego wyjaśniamy co następuje:

W dniu 24 maja 1946 r. podpisaliśmy w istocie umowę na wydanie wierszy i satyr Sw. Karpińskiego. Umowa ta zawierała klauzulę, że wiersze wydamy w ciągu 5 lat od daty jej podpisania.

Obywatel Minkiewicz podjął się dokonania wyboru satyr, pracę swą wykonał i otrzymał za nią należne honorarium.

Kolejność wydawania książek spółdzielni naszej układa nie pod kątem widzenia przestrzegania „obowiązujących manier towarzyskich” w stosunku do żywych lub do nieboszczyków, lecz z punktu widzenia rzeczywistych potrzeb społecznych.

Wydanie wierszy Sw. Karpińskiego, aczkolwiek bardzo dobrych i pożytecznych, mu-

simy jednak odłożyć na czas późniejszy, aby zaspokoić najpilniejsze potrzeby bibliotek powszechnych i szkolnych.

Sp. Wyd. „Wiedza”

W artykule moim zamieszczonym w poprzednim numerze „Kuźnicy” (nr. 48 z dn. 1 grudnia b. r.) chochlik drukarski spłatał mi dość nieprzyjemny figiel. Opuszczenie dwóch słów „pozośnie” i „nie” przyniosło mi myśl i uczyniło dwa zdania niepotrzebnie i niezgodnie z duchem artykułu napastliwymi. Przytaczam je według maszynopisu: „On, który krytykuje i gromi wszelkie odchylenia reformistyczne zarówno w polskim, jak i międzynarodowym ruchu robotniczym - wziął pozornie w obronę jawnie antymarksistowską i nawet nie reformistyczną, lecz... itd. Trudno nie uważać tego jedynie za nieporozumienie.”

Łączę wyrazy poważania
Al. Litwin

KLUB DOBREJ KSIĄŻKI

Szczegóły w nowym 139 numerze „PRZEKROJU”



SPÓR O DOBRĄ WOLĘ

Na Zjeździe Literatów we Wrocławiu pan Kisielewski dał się poraż pierwszy poznać jako mówca. Wygłosił z trybuny ustną krytykę realizmu, zakończoną słowem: „bujda”. Można i tak. Niewątpliwie, słowo użyte przez usta tak powszechnie szanowane, przejdzie do terminologii krytycznej, a przynajmniej do terminologii krytyków obozu katolickiego. Mógł bym zaproponować redakcji „Tygodnika Powszechnego” szereg nowych pojęć teoretyczno-literackich z tego samego gatunku, np. „lipa”, „nawalanka”, „puć”. Proszę jednak wybaczyć, że my, grzeszni materialści, pozostaniemy przy swoich tak nudnych i nieefektywnych, jak postokroć wykładał przez tegoż Kisielewskiego „konstrukcja losu ludzkiego”. Cóż robić?

Pan Kisielewski nazwał postulat realizmu „bujdą”, gdyż twierdzi, że realizm polega na pisaniu prawdy, a prawdy w Polsce nie wolno pisać. Znając felietonistę „Tygodnika Powszechnego” osobliście, sądzę, że pochwal mi nie w duchu za tak zwężenie i wyczerpujące streżenie jego oświadczeń na wrocławskim Zjeździe. Mimo iż, moim zdaniem, problem realizmu w literaturze jest daleko bardziej skomplikowany, niż to wyłożył ex cathedra nasz felietonista, spróbujmy podyskutować na tym gruncie. Jak wygląda prawda Polski Ludowej w oczach Kisielewskiego? Wyżysk mas pracujących przez państwowy kapitalizm, czy tak, panie Stefanie? Żnów widzę w pańskich oczach leżkę wdzięczności za tak dosadne sformułowanie. Ale czytamy przecież od czasu do czasu „Pod włos”, no i mentalność naszych przeciwników nie jest dla nas nie zgłębianą tajemnicą. Żółkiewski, Ważyk, Jastrun, oderwani od społeczeństwa scholastycy z „Kuźnicy”, nie mają przecież pojęcia ile zarabia robotnik, jakie podatki płaci chłop, ile wynoszą marże kupieckie, więc, brnąc w swe realistyczne hasła, nieszczęśli nie wiedzą, co czynią!

Zostawmy na stronie problem realizmu. Sprawa jest dużo prostsza. Polega na różnicy między dobrą a złą wolą, między tworzeniem wartości a nihilistyczną negacją. Pomówmy poważnie o rzeczach, które nasz felietonista określa tak zwężenie. Nikt nie zamierza przeczyć, że położenie materialne człowieka w Polsce jest ciężkie. Jest ono równie ciężkie we wszystkich krajach dotkniętych wojną. Jest ono, być może, cięższe niż w krajach, które korzystają z pomocy państw bogatych i niezniszczonych. Polska zdana jest dziś na własne siły. Bogate i niezniszczone państwa, których ustroj i system społeczno-gospodarczy podoba się Kisielewskiemu, odmawiają Polsce pomocy jedynie dlatego, że ich ustroj i system społeczno-gospodarczy wymaga, aby zwałczali kraje o innym ustroju i systemie. Ale na czym polega sztuka logiczna Kisielewskiego? Gdzie „puć w rękach”, mówiąc jego stylem? Uczeń krakowskich czarnoksiężników jest zdolnym prestidigitatorem. Jego sztuka polega na tym, że trudności i przeszkody, jakie musi pokonywać każde społeczeństwo, chcąc o własnych siłach osiągnąć ład, dobrobyt i sprawiedliwość, Kisielewski przedstawia jako zło organiczne. Robotnik mało zarabia, więc demokracja ludowa to „bujda”. Egzystencja urzędnika jest ciężka, a zatem do licha z socjalizmem. Plan trzyletni nakłada obowiązki, nie przynosząc od razu korzyści, więc precz z „nawalanką” światła pracy. Są ciężary, trudności, walka? No, to do diabła z zasadą społeczną, która je powołała do życia — prawda drogi Kisielewskiego? Nie wątpię, że podwładny księdza Piwowarczyka przyjmie to wniośnik, jako swą własną naukę, i piwo, które sam nawarzył, wypije z chrześcijańską pokorą.

Naród polski swą drogę do lepszej przyszłości odbywa nie po różach — wiemy o tym. Ale czy tych, którzy walczą o tę lepszą przyszłość, i nie zamykając oczu na niedomagania, widzą ją przed sobą — godzi się posadzić o zatajenie prawdy? Powtarzam: pomijając różnice ideologiczne jakie nas dzielą — między pisarzami lewicy a krytykami demokracji: w rodzaju Kisielewskiego toczy się spór o dobrą wolę i prawo do wiary w przyszłość. Jest to jeden z naszych postulatów, niewątpliwie. Pragniemy, aby stał się cechą naszej twórczości literackiej, od której spodziewamy się realistycznego przedstawienia losów człowieka. Losów człowieka walczącego o lepszy świat, z oczami otwartymi na wszelkie zło, jakiego nie zdołał jeszcze uprzatnąć z swej drogi, i jakiego grozi mu zawsze od strony tych, co nie chcą w walce wziąć udziału.

Kandyd.

Organ giełdjarzy o Niemczech

Korespondent dyplomatyczny „Wall Street Journal” zaleca Marshallowi następujący program dla Niemiec:
Przerwanie demontażu przemysłu, zaniechanie denazyfikacji, uznanie rządu Niemiec zachodnich i dopuszczenie go do komitetu 16 państw, przeprowadzenie reformy walutowej, w Niemczech oraz natychmiastowe zdjęcie kontroli sojuszniczej z handlu zagranicznego Niemiec, zakończenie wszelkich sądów nad przestępstwami wojennymi, zapoczątkowanie przez władze alianckie i zaprzestanie „destrukcyjnej ingerencji” w sprawy wychowania Niemiec.



Tylko taki program, zdaniem „Wall Street Journal”, gwarantuje szybką odbudowę Europy zachodniej w całości oraz Niemiec w szczególności i nie wymaga żadnych specjalnych władz finansowych ze strony USA. Bez komentarzy. bs

Także emancypacja

Kobiety brytyjskie wystosowały do rządu petycję o przyznanie im prawa zasiadania w Izbie Lordów. Na petycji istnieje ponad milion podpisów. Konkretnie chodzi o dopuszczenie do Izby 23 córek lordowskich, które jedynie ze względu na swoją pieć nie mogą w niej zasiadać. Uważa się powszechnie, że dopuszczenie kobiet do Izby Lordów poważnie wzmocniłoby siły Labour Party w tej instytucji.



Obecna kampania jest już szóstą z kolei przeprowadzaną w tej sprawie od roku 1919. Jak dotąd, kobietom brytyjskim nie udało się obalić tej, jak twierdzą, „ostatniej bariery na drodze do pełnej emancypacji”. bs

„Pociąg wolności”

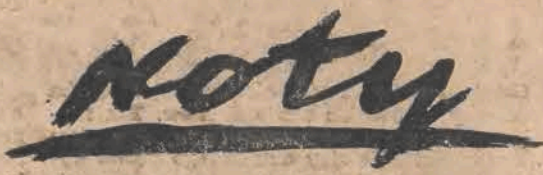
W ostatnich czasach w Stanach Zjednoczonych uruchomiono t. zw. „pociąg wolności”, który kursuje po całym kraju. W pociągu tym znajdują się różne dokumenty oraz pamiątki historyczne, mające przypominać Amerykanom historię ich niepodległości oraz zalety konstytucji amerykańskiej. Wśród tych dokumentów znajduje się m. in. deklaracja niepodległości USA oraz deklaracja o prawach obywateli Ameryki.



Mimo to, że „pociąg wolności” ma charakter wyraźnie propagandowy, w wielu miejscowościach władze nie pozwalają, by murzyńscy odwiedzali ten pociąg jednocześnie z białymi. Tak np. w stanach Tennessee i Missisipi władze miejscowe oświadczyły, iż pociąg będzie mógł zatrzymać się w tych stanach tylko wtedy, jeśli kierownictwo pociągu ustali różne godziny dla zapoznania z dokumentami wolnościowymi murzynów i białych. bs

Kiełbie warszawskie

„Nasza Księgarnia” wydała ostatnio dla użytku „Teatru szkolnego” małą książeczkę p. t. „Warszawa”. Na broszurkę tę składa się cykl wierszy poświęconych Warszawie, nieznanego



autora. O wartości tych utworów niech poinformuje czytelnika pierwszy z brzegu cytat:

1. Kto mi dziś odda tę moją Warszawę
2. z Książęcym Mostem i starym Kierbedziem,
3. tę, której Wisła śpiewała pieśń sławy,
4. a która teraz w gruzów legła biedzie!

Autor tej książeczki o Warszawie nie porzeka jednak na samej czystej poezji, lecz każdą frazę liryczną zaopatruje odpowiednimi uwagami jak należy ją wygłaszać. Na przykład w drugiej cytowanej wyżej strofie wiersze 1—2 należy czytać:

„lirycznie, z głębokim żalem i smutkiem”,
3 wiersz — „tęsknie”
4 wiersz — „wolno, żalobnie wyodrębniając słowa „gruzów”, „legła”, „biedzie” na podobieństwo akordów bezbrzeżnego smutku”.

Zdania z dalszej części tego arcydzieła:

Choćby się przyszoło na gruzach przewalać,
poszedłym najpierw — tu szczerze wam wyznam —
zapalić znicze na grobie żołnierza
i znaleźć napis:
Honor
i Ojczyzna

zaopatrzone są następującym komentarzem:

(Należy czytać) „Z nagłym zrywem uczucia. W wypowiedzianej frazie specjalnie zaakcentować i wyodrębnić słowa „Honor”, „Ojczyzna”.



Pouczenia do innych wierszy:

(Czytać) „twardo i dumnie”. „Z melancholijnym uśmiechem. Radośnie”. „Marząco, ze słodyczą w głosie”. „Słowo „nieonów” wypowiedzieć szeroko”. Inne przykłady:

„Zagajająco, ze smutnym uśmiechem”.
„Swobodnie, z pewną dozą sentymentu”.
„Z rzewnym smutkiem”. „Z bolesną ironią i z wyzywającym smutkiem”.

„Kierownik artystyczny tej imprezy — uprzedza nas autor „Warszawy” — musi być zarazem jej reżyserem, inscenizatorem i dekoratorem”.

Słusznie. Ale dlaczego poważne wydawnictwo wypuszcza na Polskę podobne wiersze grafomańskie z przeznaczeniem dla Teatru Szkolnego, i dlaczego nikt nie czuwa nad tym, by panowie Kiełbińscy bredni swoich nie drukowali i nie zabijali „dusz dziecięcych” obrzydliwym i groźnym frazesem? d. n.

„Literaturne nasледstwo”

Rosyjscy badacze historii literatury mogą się poszczycić wspaniałym osiągnięciem. Jest to 50 tomów (po kilka set i więcej stron) wydawnictwa „Literaturne nasледstwo”. Każdy tom zawiera zazwyczaj szereg rozpraw, essay’ów, dokumentów, nieznanych dotąd fragmentów wierszy czy prozy klasyków. — Poszczególne tomy poświęcone są albo jakimś jednemu pisarzowi, albo jakimś jednemu zagadnieniu. Ukazały się dotychczas zbiory prac o Puszkynie, Lermontowie, Sołtykowie - Szczedrynie, Tolstoj, Czernyszewskim, Dobrołubowie, Nekrasowie, Hercenie, Gribojedowie i innych. Wydawnictwo obejmuje 3 kolosalne tomy, poświęcone rosyjsko - francuskim stosunkom literackim. Przyniosło wiele odkryć rewolucjonizujących dotychczasową wiedzę o twórczości wielkich rosyjskich pisarzy. Wystarczy wymienić np. opublikowanie poraż pierwszy pięciu nieznanych dotąd pism filozoficznych Czaadajewa. Oczywiście studia objęte wydawnictwem nie są poświęcone jedynie gwiżdżom pierwszej wielkości. Także o poetach minorum gentium przyniosły ostatnio wiele cennych wiadomości. „Literaturne nasледstwo” przyczyniło się wale do przeobrażenia gruntu rosyjskiej historii literatury. — Jego współzawodnikom zawdzięcza się w znacznej mierze, iż można dziś mówić bez żadnej przesady o powstaniu prawdziwie nowoczesnej historii literatury w ZSRR. Jedyne,

bodaj nowoczesnej wiedzy literackiej na świecie.

Publikowanie omawianego wydawnictwa jest oczywiście dziełem zbiorowym. Fachowe środowiska, skupione wokół redakcji gwarantuje powagę i rzetelność naukową wyników. W wielostronicowych tomach nie ma ani jednego historyczno - literackiego faktu, który by nie był poddany surowej kontroli zespołu redakcyjnego.

W skład redakcji wchodzi tak znakomici specjaliści, jak: Belcikow, Kozmin, Błagoj, Brodski, Gudzin, Jewgieniew-Maksimow, Serdijewskij, Orłow, Tomaszewskij (znany w Polsce, prace jego były przekładane), Bondi, Gukowski, Cajilin, Buchstab, Rejser, Makaszyn, Jampolskij, Durylin, Bystrowa - Czernyszewskaja, Klewenskij, Rozanow, Welksler i inni. Nadto współpracowali z wydawnictwem tacy historycy, jak Tynianow, Nećkina, Białk, Jegolin, dawniej Łunaczarskij.

Głównym redaktorem jest akademik Lebiediew - Poljanskij. Organizatorem wydawnictwa od pierwszego do 50 tomu S. Zilberszejn. Szczególnie zasłużonym naukowym inspiratorem znakomity znawca literatury lat 60 i 70 S. Makaszyn, specjalnie zajmujący się Szczedrynem i Nekrasowem.

Istotną właściwością tej kolektywnej pracy, właściwością, która zaważyła na sukcesie — jest jej planowość. Poszczególne tomy nie są nigdy przypadkowymi zbiorami studiów, jak to zwykle u nas bywa. Redakcja ustala temat — licząc się z potrzebami nauki, potrzebami społecznymi. A więc np. „Rewolucyjni demokraci lat 60”, lub „Puszkini”, lub „XVIII wiek”. Redakcja potem mobilizuje uczonych, mobilizuje archiwa, mobilizuje źródła ikonograficzne. W rezultacie uzyskujemy książkę jednolitą, rozplanowaną, dzieło wielu, a podporządkowane jednej naukowej koncepcji. Jest to osiągnięcie bezprzykładne w światowym piśmiennictwie historyczno - literackim. Wydawano często psze zbiory studiów. Nigdy i nigdzie nie budowano tak zwanych, pełnych monografii.

Osiągnięciem wydawnictwa jest nie tylko nagromadzenie nowych, dobrze skontrolowanych informacji. Przynoszą te tomy rewolucyjne rezultaty metodologiczne. Przynoszą nowe treści ideowe w dziedzinie wiedzy o przeszłości kulturalnej. Są kapitalnym, subtelnym, wolnym od schematyzmu i wulgaryzacji opracowaniem marksistowskiej teorii literatury i historycznej interpretacji jej dynamiki. Wyniki tych prac pozwalają zarówno przezwyciężyć wulgarny socjologizm, jak i idealistyczne mity historiografii mieszczańskiej.

Większość powyższych informacji czerpiemy ze studium świętego poety i miłośnika starej literatury Kornieja Czukowskiego, którego bajki tak znakomicie tłumaczył na nasz język Broniewskij.

Pragnę zakończyć charakterystykę wydawnictwa „Literaturne nasледstwo” słowami Czukowskiego: „...ideowość, demokratyczność, planowość kolektywnej organizacji pracy, sumienna kontrola naukowa — to są najbardziej charakterystyczne cechy radzieckiego literaturoznawstwa, przejawiającego się w lepszych tomach „Nasледstwa”.

żk.

Do czytelnika

W dniu dzisiejszym do stałej ceny dzienników krajowych dodana została jedna złotówka. Złotówka ta, to zainicjowany przez prasę stołeczna dar społeczeństwa, na działalność Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Niedawno RTPD święciło swój Dzień — i w Dniu tym klasa robotnicza Polski stwierdziła, że instytucja ta, która nie od dzisiaj prowadzi twardą i mozolną pracę w dziedzinie wychowania dziecka — uważa za swoją.

W tradycjach narodu polskiego leży spienienie z pomocą dziecka i dlatego, biorąc pod uwagę cele, jakim RTPD służy, jego szeroką działalność w zakresie opieki nad dzieckiem, wierzymy, że społeczeństwo polskie inicjatywę naszą przyjmie przychylnie i serdecznie.

Wiadomo nam wszystkim, że zagadnienie opieki nad dzieckiem w powojennym okresie, jest ciągle zagadnieniem trudnym i dlatego dziecko w Polsce jest nie tylko przedmiotem troski Państwa czy instytucji społecznych, do tego powołanych, ale przedmiotem głębokiej i szczerzej troski całego społeczeństwa.

Prasa polska, przez dzisiejszą swoją inicjatywę, pragnie jeszcze raz zaakcentować pozytywny stosunek społeczeństwa do spraw wychowania i opieki nad dzieckiem.

Czytelniku! Skromny datek jednodzienny nie obciąży Cię nadmiernie, a w sumie stanowić będzie poważną pozycję w budżecie instytucji, której ofiarne wysiłki wymagają funduszy większych niż te, którymi RTPD dotychczas rozporządza.

Czytelniku — niech więc inicjatywa nasza spotka się z Twym serdecznym poparciem!

Redakcja.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.	Wydawca: Zespół „Kuźnicy”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓLKIEWSKI.	
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.	
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.	
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.	
WARUNKI PRENUMERATY:	
miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.	
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.	
D-018333 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2.	